SOBOTA 10 XII 1983 Nr 147 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Budowa Centrum Zdrowia Matki-Polki

„NIECH KAŻDY WNIESIE CEGŁĘ PO CEGLE W GMACH SZPITALA-POMNIKA"

Od zgłoszenia propozycji wzniesienia Pomnika Matki-Polki minęło niespełna półtora roku. W marcu br. postanowiono, iż będzie nim szpital – Centrum Zdrowia Matki-Polki i wzniesiony zostanie w Łodzi. Prace przygotowujące teren pod budowę rozpoczęto już w maju. Po kilku miesiącach z ziemi wyrosły fundamenty kilku obiektów. Nowy etap budowy pomnika rozpoczął się 21 października, kiedy to dokonano uroczystego wmurowania aktu erekcyjnego. Odtąd liczyć się będzie początek budowy, która, jak się planuje, zostanie ukończona w 1987 r.

Centrum składać się będzie ze szpitala ginekologiczno-położniczego, pawilonu pediatrycznego, zaplecza technicznego oraz obiektów mieszkalnych dla personelu medycznego. Świadczyć będzie usługi medyczne kobietom z całej Polski. Będzie również koordynować prace innych placówek zajmujących się opieką zdrowotną nad matką i dzieckiem, prowadzić badania i szkolenie oraz współpracować z zagranicą.

Obiekt ma być finansowany głównie z funduszów społecznych, a jego koszt obliczono na 8,5 mld złotych. Dotychczas na konto budowy pomnika wpłynęło ponad pół miliarda złotych, około 20 tys. dolarów USA oraz liczne deklaracje prac społecznych i darów rzeczowych, np. w „banku krwi" Centrum zgromadzono już ponad 400 litrów tego najcenniejszego z leków. Do zbiórki funduszy włączają się zakłady pracy, różne instytucje i osoby prywatne. Również młodzież, w tym i nasi czytelnicy, mają w niej swój znaczący udział. Napisali do nas uczniowie ze Szkoły Podstawowej nr 65 w Gdańsku. Ich pomysł zbiórki funduszy jest bardzo ciekawy i zarazem pożyteczny dla organizatorów. Piszą:

„We wrześniu zorganizowaliśmy „Jarmark Szkolny". Dzięki tej imprezie wielu z nas zdobyło rzeczy, których bezskutecznie szukało w sklepach. Na jarmarku można było bowiem kupić niedrogo lektury szkolne, podręczniki, także ubrania, trampki i różne inne rzeczy, nawet chomiki za jedyne 50 zł. Wszyscy sprzedający ze swego skromnego utargu złożyli do specjalnej skarbonki symboliczne złotówki na fundusz budowy Pomnika Szpitala Centrum Zdrowia Matki-Polki. Obecnie myślimy o następnej akcji, która ten fundusz powiększy. Nie znamy, niestety, konta, na które można wysłać pieniądze. Bardzo prosimy o podanie tej informacji"

Zarząd Szkolnego Koła PCK

Przypominamy więc jeszcze raz numery kont tej budowy:

NBP VI O/M Warszawa
nr 1065-1094-130-2
oraz
NBP II O/M w Łodzi
nr 47021-176776-132

(ws)

Scena „Buffo" dla młodych

Patrz str. 5

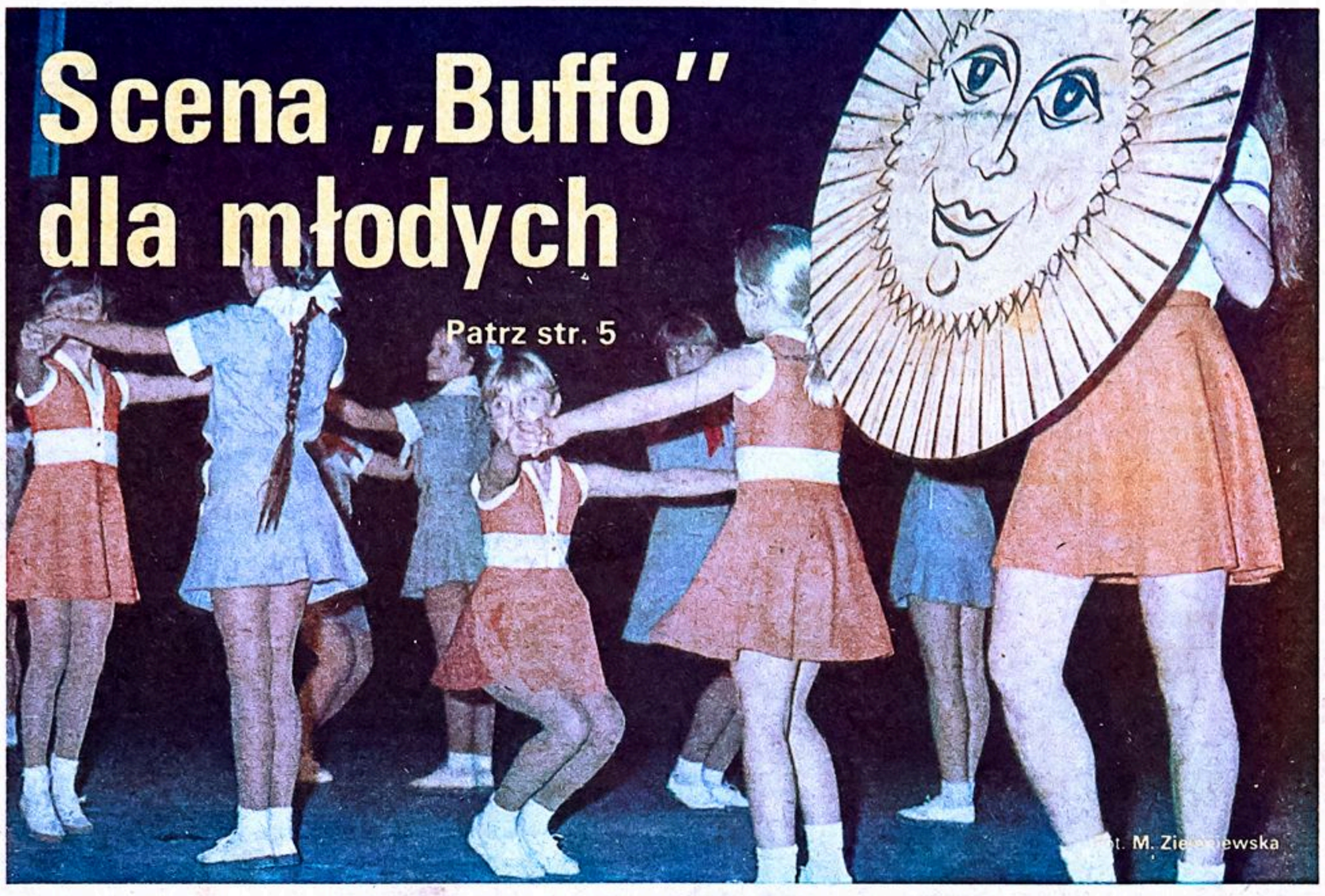

fot. M. Zie[illegible]ewska

Słońce było bohaterem wielu piosenek wykonywanych przez łódzkie „Krajki"

Nie tylko aerobic!

REFLEKS, WDZIĘK I ZGRABNĄ SYLWETKĘ...

... mógłbyś osiągnąć, gdybyś ćwiczył systematycznie szermierkę na zajęciach sportowych w warszawskim Pałacu Młodzieży. W sekcji są jeszcze wolne miejsca dla dziewcząt i chłopców z klas V–VI, treningi odbywają się w poniedziałki i czwartki od 14.30–16.00.

Zamiast więc nudzić się jak mops w szufladzie, gnuśnieć w domu i krzywić kręgosłup przed telewizorem, zgłoś się do Pałacu Młodzieży, do sekcji uczestnictwa (pokój 120), w godzinach 15–18, a dowiesz się dokładnie wszystkich szczegółów.

(tem)

Góry Świętokrzyskie coraz niższe

(PAP). W Górach Świętokrzyskich są bogate złoża surowców skalnych dla przemysłu materiałów budowlanych.

Ich eksploatacja powoduje, że wzniesienia w górach stają się coraz... niższe. Obliczono, że czynne w tym rejonie zakłady przemysłu cementowo-wapienniczego likwidują w okresie 3–5 lat średniej wielkości wzniesienia. **(kl)**

SKARBONKA ZNÓW PEŁNA

(PAP). Już po raz dziesiąty podliczono zawartość ustawionej na dziedzińcu Wawelu skarbonki Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Okazało się, że znajduje się w niej niemal 600 tys. zł, a także waluty obce.

Od początku akcji wrzucono już do skarbonki 2 mln 685 tys. złotych.

(kl)

5

NA TRAPERSKIEJ ŚCIEŻCE

RUSZAMY BIAŁYM TROPEM (c.d.)

Bo oto znów trafiamy na **świeży trop na śniegu.** Dość głęboko odciśnięte widnieją wyraźnie **ślady zająca.** I znowu – czego to ja nie usłyszałem w czasie różnych harcerskich wycieczek na temat tych dziwnych zajęczych tropów! Że zając zostawia odbicie swego ogona, a nawet długich... uszu; że wystarczy uderzyć się kamieniem w kolano a uciekający zając zatrzyma się natychmiast i inne temu podobne bzdury. Naszemu poczciwemu **zającowi szarakowi** poświęcam w naszej książce specjalny rozdział, bo wart jest tego.

A my doszliśmy w ten sposób do skraju lasu – lekko przyprószonego śniegiem, z białymi, niewielkimi jeszcze czapami na gęstych gałęziach **drzew iglastych.** Zresztą popatrz na nie: sosny, świerki, jałowce – **zielone jak w lecie.** Czy ich liście-igły nigdy **nie opadają?** Owszem, ale **raz na kilka lat.** Za to w zimie usłyszysz często ni stąd ni zowąd **trzask łamiących się gałązek** dochodzący z góry. To nie zwierzęta go powodują, to łamią się pod ciężarem kruche gałęzie drzew iglastych, na których zatrzymuje się łatwo śnieg, szadź i lód... Ale i głośniejsze hałasy rozróżni nasze ucho z daleka w pozornej ciszy pobielonej kniei – **warkot mechanicznych pił** i **stukot siekier,** skrzypienie wozów i okrzyki woźniców; zima – to **pora wyrębu drzew,** wtedy soków w pniach mało...

TROPICIELSKIE MĄDROŚCI

W czasie tropienia i obserwacji zwierząt, w czasie siedzenia w zasadzce zdarza się, że nagle złapie Cię kaszel lub nieodparty przymus kichnięcia. Taki nagły odgłos w zimowej leśnej ciszy może popsuć wszystko: przestraszyć obserwowane zwierzęta czy zdradzić Twoją kryjówkę. Jeśli chce Ci się kichnąć – potrzyj sobie silnie palcem miejsce pod nosem nad górną wargą. Jeśli nie pomaga, szybko zdejmij czapkę, „utknij" w nią twarz i wtedy kichnij. Zimowa czapka stłumi hałas. Kaszlaj też – jeśli nie możesz się powstrzymać – tylko w czapkę.

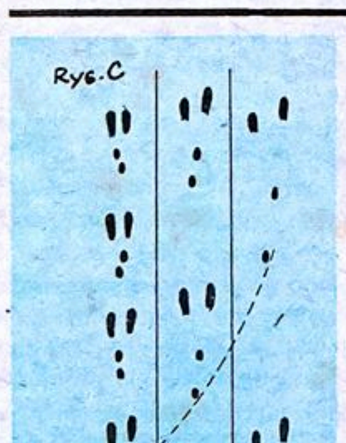

„SIEDZI SOBIE ZAJĄC POD MIEDZĄ..."

Ciąg dalszy ze str. 8

Tak właśnie tworzy się ów dziwny zajęczy ślad, na którym nogi tylne odbite są jako pierwsze. Ślad ten ma kształt litery Y, a jej widełki zawsze wskazują kierunek, w którym poruszało się zwierzę.

Na rys. C widzisz, jak zmienia się długość śladu zająca w zależności od szybkości poruszania się zwierzęcia: a) kicanie, kiedy długość pojedynczego śladu jednej łapy jest często większa, niż odległość między śladami; b) bieg, kiedy odległość (d) między początkami śladów wynosi już 50–70 cm; c) szybki bieg, kiedy długość skoku waha się od 1 do 3,5 m a zając nie dotyka wtedy podłoża całą powierzchnią łap lecz ich końcami.

W miejscach zimowego żerowania zający, np. tam, gdzie obgryzają młode gałązki, można spotkać spore ilości odchodów zajęczych – bobków. Są to lekko spłaszczone kulki o średnicy 12–18 mm; wyglądają często jak ulepione z tytoniu papierosowego (są to niestrawione resztki pożywienia).

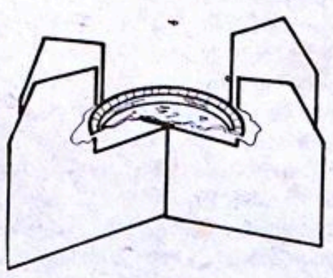

KUCHNIA Z PORTFELA

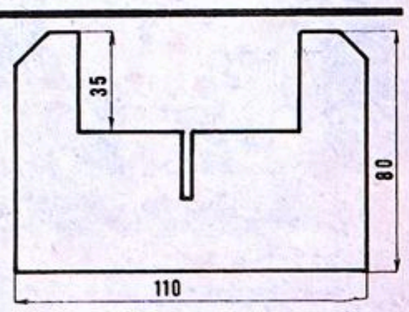

Jest to warnik zajmujący najmniej miejsca. Złożony na płask można przenosić w portfelu, a już na pewno w kieszeni. Ale można na nim zagotować wodę, przyrządzić zupę błyskawiczną, odsmażyć konserwę, odgrzać zmarzłe kanapki itp. Wystarczą cztery kostki suchego paliwa, by zagotować kubek wody. Korpus (2 części) wycinamy z grubszej aluminiowej (lub żelaznej) blachy według podanych na rysunku podstawowych wymiarów. Szerokość wycięcia wewnętrznego dostosujemy do wymiarów paleniska, na które użyjemy czyste wieczko z puszki po kawie, herbacie, farbie itp. Szpary w korpusie, służące do wsunięcia jednej części w drugą wycinamy – jedną od góry, drugą od dołu. W czasie używania warnika „z portfela" na wolnym powietrzu można osłonić go przed wiatrem plecakami, kamieniami lub peleryną. Po każdym użyciu kuchenkę starannie czyścimy. Przechowywać najlepiej w specjalnie uszytym płóciennym woreczku.

REDAKCYJNA POCZTA

Nie załamuj się „Piotrusiu"

Piszemy w sprawie listu „Czarnego Piotrusia", zamieszczonego w 120 nr. „Świata Młodych". Jesteśmy bardzo zdziwieni postępowaniem jego kolegów. W swoim środowisku znamy bowiem kilku takich jak on; przezwyciężyli swoją słabość i przestali się odurzać. Nie są odizolowani, wręcz przeciwnie. Żadne imprezy, dyskoteki, wycieczki nie obejdą się bez ich udziału. Mają ogromne poczucie humoru i są bardzo lubiani. Są tacy jak my wszyscy. Toteż po przeczytaniu tego listu doszliśmy do wniosku, że albo „Piotruś" trochę przesadza, albo jego koledzy nie są prawdziwymi kolegami. Trudno bowiem nam uwierzyć, że nie potrafili docenić zwycięstwa Piotrusia i znaczenia tego faktu, że opuścili go i teraz też nie widzą, że ich przyjaźń i pomoc jest mu bardzo potrzebna. Nie znamy ich i nie wiemy czy „Piotruś" powinien starać się nawiązać z nimi kontakt. Sądzimy, że spróbować może, jednak gdy to się nie powiedzie, to trudno, nie powinien martwić się stratą takich „przyjaciół". „Piotrusiu", podobne zdanie ma wielu naszych znajomych i na pewno wielu czytelników. Dlatego prosimy Cię, nie załamuj się, a nawiąż korespondencję. Wybór masz duży. To chyba najlepszy sposób na Twoją „chorobę". Liczymy, że Ci się powiedzie.

Kaśka i Danka

OD REDAKCJI: Rzeczywiście, macie rację. Problem „Czarnego Piotrusia" wywołał bardzo duże zainteresowanie. Otrzymaliśmy blisko 200 listów. Czytelnicy przesyłają „Piotrusiowi", oceny postępowania kolegów oraz zgłaszają propozycje korespondencji i przyjaźni. Wszystkie listy prześlemy „Piotrusiowi". Również te, których autorzy prosili o przysłanie adresu „Piotrusia". Tej prośby spełnić nie możemy. „Piotruś" zastrzegł go tylko do wiadomości redakcji. (ws)

Dziewczyna, a jak gra!

Mam 17 lat. Podczas tegorocznych wakacji na obozie postanowiliśmy zorganizować mecz piłki nożnej. Drużyny się dobrały i wyszliśmy na boisko. Bardzo się zdziwiłem, gdy w drużynie przeciwnika zobaczyłem dziewczynę. Dziewczyna piłkarz (!?) – uśmiechaliśmy się ironicznie pod nosem. Koledzy przechwalali się przed Renatą sztuczkami w kiwaniu, celnością strzału itp. A ona... powiedziała tylko: zobaczymy! I rzeczywiście. Renata strzeliła nam dziewięć bramek. My żadnej. Nigdy nie widziałem, żeby dziewczyna tak dobrze grała. Byliśmy pełni podziwu dla jej umiejętności, ale nie da się ukryć, głupio nam było, że przegraliśmy z dziewczyną. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że Renata gra w jakimś klubie sportowym. Czyżby więc i piłka nożna przestała już być domeną chłopców?

Chciałbym z nią nawiązać korespondencję, lecz nie wiem nic więcej o niej. Może więc tą drogą ją odnajdę.

Piotr

Bądźcie nieugięte

Piszę w sprawie listu Anki (121 nr „Świata Młodych"). Gdy go czytałam, serce zabiło mi szybciej: a więc nie jestem jedyną przewrotną dziewczyną!

Anko, piszesz, że gdy chłopak jest przyjacielem, wszystko jest dobrze, lecz gdy chce być kimś więcej, czujesz do niego niechęć. Ze mną jest podobnie, choć przyczyny mego zachowania są trochę inne. Uważam, że większość chłopców tylko udaje, że kocha; w rzeczywistości chodzi im o to, by popisać się przed kumplami i pokazać następną dziewczynę. Więc chyba, Aniu, nie warto się martwić tą naszą przewrotnością. Może dzięki takim dziewczynom jak my, chłopcy zrozumieją, że nie tylko oni mogą wybierać, rozkochiwać, porzucać i bawić się naszym uczuciem.

Iza

Dali mi najwięcej, bo swoją przyjaźń

Przyznam się, że do tej pory wcale nie zastanawiałam się nad tym, z kim najchętniej przebywam.

Teraz, gdy o tym trochę pomyślałam, doszłam do wniosku, że właściwie zawsze jest mi dobrze: i wtedy gby zupełnie sama siedzę sobie w swoim pokoju zatopiona w marzeniach, i wtedy gdy jestem w gronie przyjaciół.

Zbyt wiele miejsca zajęłoby mi opisanie, jak znalazłam się w Młodzieżowym Kręgu Instruktorskim; fakt, że należę do niego już od półtora roku i w tej chwili nie wyobrażam sobie życia bez ludzi, którzy go tworzą. W ich gronie zapominam o kłopotach w szkole, o ciężkiej nauce, o tym wszystkim co mnie gnębi w ciągu całego długiego tygodnia. Gdy nadchodzi piątkowe popołudnie, jestem radosna jak letni dzień o świcie, bo wiem, że w sobotę rano znów wszyscy razem wyruszymy na nasze „Rancho" „Ranchem" nazwaliśmy harcówkę – dom położony wśród lasów, łąk i pól. Tam czujemy się cudownie zespoleni z naturą, wkomponowani w jej tło. Chodzimy po lasach, łąkach i staramy się poznawać przyrodę. Pod sam dom podchodzą zwierzęta: sarny, zające, nawet dziki. Nasz Krąg spotyka się na co dzień: chodzimy razem do kina, organizujemy zbiórki na wesoło i poważnie. Wiemy o sobie prawie wszystko. A poza innymi sprawami realizujemy normalne zadania harcerskie, zdobywamy stopnie; tylko robimy to trochę inaczej, i to jest właśnie ów magnes, który przyciąga ludzi do naszego MKI.

W maju zdaję maturę, później, aby się dalej uczyć, będę musiała wyjechać z mojego miasta, nie wiem jak będę mogła bez nich żyć – bez tych, którzy dali mi najwięcej, bo swoją przyjaźń.

Dorota

Lubię czytać

Wolny czas, każdą wolną chwilę poświęcam mej największej, najwierniejszej przyjaciółce, słowem – książce. W malutkiej biblioteczce mam około 400 książek; za każde kieszonkowe kupuję dwie, trzy książki, a także numer „Świata Młodych" i „Płomyka". Innych czasopism i gazet dla młodzieży nie kupuję, po prostu

Klub Nastolatków pyta:

Z KIM NAJCHĘTNIEJ PRZEBYWASZ?

nie starcza mi na nie pieniędzy, ale za to wszystkie czasopisma, jakie wychodzą w Polsce, czytam w bibliotekach i klubach MPiK-u.

Żeby kupić sobie troszkę więcej książek do mojej biblioteczki, oszczędzam jak mogę. Między innymi robię na drutach różne rzeczy dla siebie, siostry i lalek. Czasami książki kupuje mi mama. Książki są moimi najlepszymi przyjaciółmi na dobre i złe.

„Świat Młodych" czytam od 8 roku życia i to dzięki tacie. Tato rano, idąc do pracy, zawsze kupował mi „Świat Młodych", ja czytałam komiksy na ostatniej stronie, a mama cały „ŚM" „od deski do deski". Teraz jest tak, że

Najlepiej z rodziną

Mam dwóch braci: Andrzeja i Roberta. Moi bracia są już dorośli. Robert jest młodszy od Andrzeja o rok. Jest w klasie maturalnej i będzie studiował medycynę. Ale chociaż ma już 18 lat, jest fajowy. Można z nim posłuchać muzyki z magnetofonu i grać w różne gry. A Andrzej na odwrót – jest poważny, bo już jest studentem Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni. Teraz Andrzej jest ciągle w morzu, bo popłynął w 7-miesięczny rejs do Japonii. Ale chociaż jest tak daleko od rodziny, pisze do mnie miłe i uśmiechnięte listy.

Naprawdę jestem dumna z moich braci. Obydwaj zdali do szkoły średniej z wyróżnieniem i nagrodą od prezydenta miasta. Moi rodzice są również inteligentni i bardzo, bardzo fajni. Z mamą gram w różne gry i zabawy. A z tatą rozmawiam na ciekawe tematy.

Renia z Lublina

i ja, i mama czytamy cały „ŚM". Moja 8-letnia siostra (zaczyna) na ostatniej stronie komiks i „uśmiech numeru".

Natalka

Co myślę o przyjaźni z samym sobą?

Mam skończone 18 lat i kiedy czytam listy 12-, 13-, a nawet 14-latków, to wydaje mi się, że nie pasuję już do nich i nie powinnam tu pisać. Spodobał mi się list „Żwirka". Myśli ona podobnymi kategoriami jak ja.

Bardzo lubię przebywać sama ze sobą, lecz nie znaczy to wcale, że stronię od koleżanek i kolegów, ale chyba nie mogłabym się im zwierzać. Moim zdaniem, jeśli chce się mieć przyjaciółkę, to trzeba ją wpierw znaleźć i wyczuć.

Uważam jednak, że lepiej mieć jednego kolegę, zaznaczam – kolegę, a nie chłopaka, niż pięć koleżanek. Nawet najlepsza koleżanka, jeśli jest się z nią w zgodzie, jest naprawdę kochaną dziewczyną, ale jak już dojdzie do kłótni, to cię ładnie obsmaruje.

Kiedy jestem sama z sobą, to mogę o wszystkim spokojnie pomyśleć, i podobnie jak „Żwirek" rozmawiam z sobą. To drugie „ja" jest zawsze kimś innym, raz moim zaufanym kolegą, raz koleżanką, a kiedy indziej kimś kogo nie znam. Od czasu do czasu lubię sobie pomarzyć, ale nie żyć tymi marzeniami, bo chyba nie można nimi żyć.

Beata

Mój wujek

Najchętniej przebywam w towarzystwie wujka. Latem chodzimy wspólnie na wycieczki, do muzeów, nad rzekę, idziemy na spacer do lasu. Wujek pokazuje mi różne ciekawe rzeczy. Jest fajny. Nieraz wydaje mi się, że to mój starszy brat.

Magda

Kącik Przyjaciół

● Mam 13 lat i 159 cm. Kocham przyrodę; mam jamnika, papużki, chomika i jeżdżę konno. Zbieram wszystko, co dotyczy zwierząt. Piszę opowiadania. Lubię fajnych chłopaków, muzykę rockową i dyskoteki, **Magdalena Bartoszewicz,** [redacted]

● Mam 12 lat, 160 cm wzrostu, oczy piwne. Uczę się dobrze. Nie cierpię geografii. Kocham książki, muzykę rockową, zespół Bajm, Lombard, Lady Pank, Republikę, Wandę i Bandę. Zbieram zdjęcia zespołów i widokówki rosyjskie, **Dorota Przyborowska,** [redacted]

● Mam niebieskie oczy, jasne włosy i 11 lat. Często jestem smutna, bo nie mam rodzeństwa. Bardzo lubię plastykę i muzykę. Czytam książki fantastyczne i bajki. Lubię grać na cymbałkach i akordeonie. Nie lubię zupy z torebek i obierania cebuli. Zbieram naklejki, widokówki i opakowania po czekoladach, **Katarzyna** [redacted]

● Zbieram znaczki pocztowe i interesuję się umundurowaniem wojska polskiego od zamierzchłych czasów. Interesuje mnie też archeologia, **Wiesław Domalewski,** [redacted]

● Mam 14 lat, interesuję się filmem i muzyką rockową. Kocham książki, długie spacery, deszczowe dni i... załogę czołgu 102. Lubię marzyć i pisać listy, **Agnieszka Zajączkowska,** [redacted]

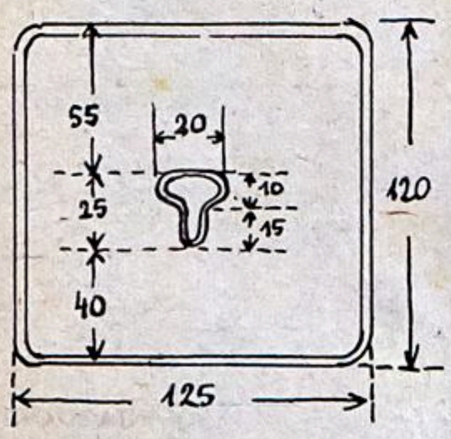

PONCHO – TRAPERSKI PRZYODZIEWEK

Połówka starego koca, nie nadający się już do normalnego użytku pled, materiał ze starego jesiennego płaszcza – i już przy dosłownie odrobinie krawieckich umiejętności można uszyć PONCHO (czyt. ponczo – z jęz. hiszp.) – jeden z wariantów przyodziewku Indian, pasterzy i traperów amerykańskich. Pokazuję na rysunku wykrój poncho. Jak zwykle wymiary – podane tu w centymetrach – trzeba dostosować do swego wzrostu. Brzegi poncho i wewnętrzny otwór na głowę oblamować taśmą płócienną. Poncho doskonale przyda się „na traperskiej ścieżce". Założone na wierzchnie ubranie i zapięte pod szyją na guzik – chroni przed zimnym wiatrem i sypiącym śniegiem; można pod nie wpuścić kaptur lub wełnianą długą czapkę; posłuży jako podkładka – można na nim usiąść na krótkim postoju, złożywszy go w kostkę; będzie cieplej, gdy owiniesz nim nogi w czasie noclegu lub użyjesz jako dodatkowego przykrycia „iglastego materaca" w namiocie. Traperskie PONCHO – to w sam raz coś dla Ciebie!

IGLOO-TUNEL

Tymczasowe schronienie na traperskim biwaku można zbudować z płyt twardego, przemarzniętego śniegu układając je tak, jak pokazuje rysunek. Jest to tzw. igloo-tunel. Podłoga tego igloo jest wpuszczona na głębokość ok. pół metra w śniegowy teren. Pamiętajmy, że nawet taki „szałas ze śniegu" trzeba po wykorzystaniu rozebrać, a teren doprowadzić do pierwotnego wyglądu.

JĘZYK LUDZI LASU

Ze „Słownika języka łowieckiego" wybrałem kolejne określenia; radzę ich używać w czasie działań „na traperskiej ścieżce".

BABRZYSKO – miejsce grząskie, najczęściej w kniei, gdzie tarzają się w błocie dziki i jelenie. Uwaga: na str. 4 naszej książki w haśle „kąpielisko" omyłkowo wydrukowano „pasą się... dziki i jelenie"; ma być prawidłowo „pławią się".

BLASKI – także m.in. bałuchy, gały – oczy zająca, jedna z nazw regionalnych.

KOCIAK, KOCIĘ – młody zając.

BASIOR – dojrzały, rosły wilk samiec.

CHÓD WILCZY – gdy wilki ciągnąc sznurem jeden za drugim, idą trop w trop, stawiając nogi dokładnie w ślady poprzednika.

CIRYKAĆ – także m.in. cierkać, cięgocić; o kuropatwach: wydawać głos, odzywać się.

MIKITA – gwarowe: lis.

ZADANIE: POLIGON

Oto ja, Wagabunda, daję Ci dziś pierwsze samodzielne traperskie zadanie: wyznacz sobie na skraju lasu lub w dzikiej części parku, w przydomowym sadzie lub pobliskich zaroślach – obszar obserwowany, tropicielski poligon. Na nim będziesz przeprowadzał codzienne obserwacje, z niego notował spostrzeżenia, szkicował rysunki zaobserwowanych zwierząt i ich śladów. Przypatrz się dokładnie, jak wygląda „obszar" po ponowie, a jak w kilka dni po opadzie śniegu? Jak szybko przybywa śladów? Jakie zwierzęta zostawiają ich najwięcej? Prześledź trop jednego zająca! Czy przychodzą tu kuropatwy i co robią? Czy przychodzą bezpańskie psy?

Na tym obszarze możesz także przeprowadzać ćwiczenia z całym Twoim zastępem albo z kolegą. Będą one doskonałym przygotowaniem do dużej zimowej wyprawy do kniei.

Załatwić z samym sobą

DOŻYWOCIE ZAKAŁY

Zdrętwiał na dźwięk swego nazwiska. Przecież był pytany na poprzedniej matematyce. Przedwczoraj. Podnosi się z miejsca powoli, ociężale, niechętnie. – Zawzięty babsztyl – myśli. Widocznie postanowiła mu udowodnić, że to przedwczorajsze trzy plus było przypadkowe jak przysłowiowe ślepej kury ziarno. Podchodzi do tablicy, matematyczka nawet na niego nie patrzy studiując dziennik. Wreszcie podnosi głowę i nie zadaje oczekiwanego pytania, tylko mówi:

– Postawiłam ci z ostatniej odpowiedzi dostateczny z plusem. Myślałam potem o tej ocenie i doszłam do wniosku, że należała ci się cała czwórka. No więc stawiam tę czwórkę – spojrzała na niego z uśmiechem, ale jakby też z zażenowaniem. – Tę trójkę wstawiłam ci... z rozpędu – dodaje.

Jak klasa klasą, coś takiego zdarzyło się pierwszy raz. Wracał na swoje miejsce z uczuciem, że jego żołądek też wraca na swoje zwykłe miejsce opuszczając okolicę gardła. Klasa patrzyła na niego jak na bohatera jakiejś podejrzanej afery. Matematycznej słabiźnie, której sukcesy i upadki dzieliło od siebie niezmiennie pół stopnia zalegające obszar między trzy „na szynach", a całym trzy, nagle zaofiarowano algebraiczno-geometryczną karierę.

– Sprawiedliwa – oceniła klasa matematyczkę. – Nie lubi go, ale poprawiła na czwórkę.

Nie lubi go, ale... Tak jakby z nielubienia wynikało w sposób oczywisty prawo do stosowania „klauzuli wyjątkowego nieuprzywilejowania".

Czy matematyczka go nie lubi? Brak lubienia to nie jest jeszcze nielubienie.

Jeśli komuś chce się koniecznie wtłoczyć do głowy, choćby na siłę, niezbędną porcję wiedzy – i nic z tego nie wynika, przychodzi zniechęcenie. Z rezygnacją wysłuchuje się licznych ledwo, ledwo poprawnych odpowiedzi i z ulgą przyjmuje się taką, za którą można postawić trójkę. Po okresie buntu przeciw biernej przeciętności (ja go zmuszę do myślenia!), po czasie zniechęcenia (szkoda moich wysiłków!) przychodzi przyzwyczajenie i coś na kształt zgody na stan uczniowskiego umysłu (na tyle tylko go stać, niech już tak będzie). Wywołuje się do odpowiedzi takiego słabego średniaka niechętnie i jeśli nie padnie w boju w sposób wyraźny, strząsa się wiszącą już w pogotowiu w kulki flamastra czy stalówki pióra trójczynę.

Matematyczka, o której mowa, dokonała pewnej niełatwej sztuki. Zadała sobie trud rewizji swojego stosunku do chłopaka i rewizji wyroku skazującego go na dożywotnią przeciętność. Skreśliła w ocenie jego możliwości kategoryczne stwierdzenie: „na tyle tylko go stać".

Powiecie: Czym tu się zachwycać, takie postępowanie, obiektywizm powinny cechować każdego nauczyciela. Racja. Ale... czy tylko nauczyciela?

Redakcyjna poczta pełna jest listów domagających się publicznego ogłoszenia wyroków, które wydała na swego kolegę klasa. Niech wszyscy wiedzą, kto jest „zakałą", „zawadą", „czarną owcą" psującą dobrą opinię zespołu. Pełno jest też – jeśli zostaniemy przy tym prawniczym języku i porównaniach – apelacji z prośbą o rewizję procesu. Piszą „zakały" i „czarne owce" rozpaczliwe listy: „Jestem przeciętna, ani ładna, ani brzydka, uczę się średnio, a wszyscy mi dokuczają".

Kto nie chce być lubiany? Pragniemy być lubiani przez tych, których sami lubimy i przez tych, których podziwiamy, którzy nam imponują wiedzą, popularnością, swobodnym sposobem bycia... Nie zależy nam na sympatii tych, których sympatią nie darzymy, których lekceważymy lub choćby nie zauważamy. Jeśli odtrąca nas i lekceważąco traktuje ktoś, czyją aprobatę chcemy zdobyć – jesteśmy rozżaleni, przestajemy wierzyć we własną wartość, albo też czujemy się dotknięci głęboko we własnej ambicji i żeby ratować wiarę w siebie przyjmujemy, że obiekt naszych zabiegów nie był wart naszej przyjaźni. Natomiast sympatia kogoś nielubianego irytuje nas, jest uciążliwa, czasem wstydzimy się jej, jakby nas obrażała. Przy każdej okazji objawiamy publicznie swoją niechęć i wyśmiewamy złośliwe słabostki natręta – żeby się odczepił i żeby broń Boże nikt nie pomyślał, że coś nas z nim łączy.

Czujemy, że jest w tym coś brzydkiego, że nie jesteśmy w porządku. No więc... musimy znaleźć usprawiedliwienie dla swojego zachowania. I znajdujemy. Budujemy sobie taki obraz nielubianej osoby, by nasza agresja skierowana w jego stronę znajdowała wytłumaczenie. – Znasz mnie – mówimy do kolegi – nie jestem kłótliwy, ze mną jak z dzieckiem, ale TEGO przecież tolerować nie można. Wiesz co ON zrobił?... – I tu następuje opowieść.

Tak się przywiązujemy do stworzonego przez siebie obrazu, że żyje on własnym życiem. Jeśli nielubiany zrobi coś, co do naszego wyobrażenia o nim nie pasuje – nie przyjmujemy tego do wiadomości. Nie i już. On ma być taki, jakiego wymyśliliśmy – na zawsze. Choćby na głowie stawał, sytuacji to nie zmieni. I tak jego pryszcz na nosie będzie najpaskudniejszy ze wszystkich znanych nam pryszczy, jego dowcipy pozostaną idiotyczne, a charakter wredny.

Rozejrzyjmy się wkoło, jakie są skutki takiej postawy w układach: kolega – kolega, nauczyciel – uczeń, uczeń – nauczyciel, rodzice – dziecko, dziecko – rodzice, przełożony – podwładny, podwładny – przełożony, polityk – obywatel, obywatel – polityk.

Nie musimy się lubić, ale czy musimy się upierać przy raz wydanych przez siebie ocenach, choćby rzeczywistość im przeczyła?

Warto to chyba przemyśleć z samym sobą.

EWA DROBNIK

OPOWIEŚĆ o skrzydlatych harcerzach

– To pani nie czytała „Pierwszej Skrzydlatej"? – zapytał z nutą oburzenia w głosie Rysiek, kiedy w maju tego roku podczas Zlotu Szkół i Organizacji im. Synów Pułku, gawędziliśmy sobie o lubelskim harcerstwie.

– Nnnie... – odpowiedziałam prawie rumieniąc się ze wstydu.

– Bo nasza drużyna właśnie z autorem tej książki Ludwikiem Bronisz-Pikało tu przyjechała. Zaraz go odnajdę – zaproponował Rysiek.

Po chwili wrócił z wysokim człowiekiem w okularach. To był pan Ludwik. Niestety, nie mieliśmy już wtedy czasu na dłuższe rozmowy. Uczestnicy Zlotu rozjeżdżali się do domów. Potem, kiedy już przeczytałam opowieść o skrzydlatej drużynie z Lublina, a także „Murzyna", „Sny puszyste, migdałowe" i „Światło w mroku", postanowiłam odszukać pana Ludwika. A nie było to łatwe zadanie. Członek Rady Lubelskiej Chorągwi ZHP, działacz ZBoWiD-u i środowiska Synów Pułku, znany w mieście społecznik, czyli krótko mówiąc pan Pikało wiedzie żywot niezwykle aktywny jak na emeryta. Dopadłam go dopiero wieczorem, po całym dniu poszukiwań, w jego małym mieszkanku na jednym z nowych osiedli lubelskich.

Pyta Pani, jak powstała ta książka i czy to wszystko prawda, co w niej napisałem – powtarza przekornie moje pytanie pan Ludwik.

– Kilkanaście lat temu zaprosiła mnie na zbiórkę jedna z lubelskich drużyn harcerskich. Dowiedzieli się, że działałem w konspiracji. Przypadkiem znalazł się na zbiórce reporter z Rozgłośni Harcerskiej. Nagrał na taśmę magnetofonową moją opowieść i zabrał do Warszawy kilka notatek o konspiracyjnej drużynie „Łosiów", do której należałem. W dwa tygodnie później zjawiła się u mnie redaktorka z Wydawnictwa Harcerskiego „Horyzonty" z prośbą, abym napisał o tym książkę. Byłem zaskoczony. „Nie jestem pisarzem. nie potrafię" – tłumaczyłem tej pani. W każdym razie dałem się w końcu namówić i w kilka miesięcy później zawiozłem do „Horyzontów" maszynopis książki. W ten sposób zostałem pisarzem. Potem napisałem jeszcze „Murzyna" – opowieść o bohaterze lubelskiej partyzantki Ryszardzie Postowiczu, „Światło w mroku" – zbiór opowiadań, za który uhonorowano mnie w 1981 roku Harcerską Nagrodą Literacką i „Sny puszyste, migdałowe".

W tej chwili pracuję nad czterema następnymi książkami.

Jestem harcerzem od czterdziestu paru lat. A ta przygoda z „Łosiami" zaczęła się, kiedy byłem dwunastoletnim smykiem. Marzyłem o lataniu, tak jak zresztą większość moich starszych kolegów, którzy spędzali cały swój wolny czas na lotnisku przy Lubelskiej Wytwórni Samolotów. Byliśmy po prostu bandą rozbrykanych urwisów i wiecznym utrapieniem gospodarza Lubelskiego Aeroklubu, majora Włodzimierza Kondratiuka. Któregoś dnia latem 1938 roku przyszedł mi do głowy pomysł, aby założyć na lotnisku drużynę harcerską. Major przystał na to dość chętnie, a nawet podarował nam z własnej kieszeni 500 zł na sprzęt sportowy i mundury. Pochodziliśmy bowiem z rodzin raczej biednych i niejednemu goły tyłek prześwitywał przez dziury w portkach. Mój brat cioteczny został drużynowym, a ja zastępowym początkowo „Indian", a potem „Łosiów". Zmieniliśmy nazwę zastępu, aby zrobić przyjemność majorowi, który latał na samolotach typu „Łoś" i bardzo je lubił. Staliśmy się więc z bandy urwipołciów prawdziwymi harcerzami. Major pozwalał nam już wypychać awionetki na lotnisko, wchodzić do hangarów. Pomagaliśmy także ubierać się pilotom w ich eleganckie skórzane kombinezony, wapnowaliśmy linie na pasach startowych. A kiedy Aeroklub odwiedzały wycieczki, staśnowiliśmy coś w rodzaju służby informacyjnej, oprowadzającej ludzi po lotnisku i hangarach. Nieraz spełniało się to, o czym zawsze marzyliśmy – lataliśmy prawdziwym samolotem.

Pierwsze bombardowanie we wrześniu 1939 roku zaskoczyło nas. Co dzień kręciliśmy się wśród żołnierzy obrony przeciwlotniczej, którzy usiłowali odpierać niemieckie ataki. Pomagaliśmy przy przenoszeniu rannych. Nasze ręce i mundury harcerskie były całe we krwi. Podczas ewakuacji lotniska niszczyliśmy wszystko, co się dało, aby nie oddać sprzętu w ręce wroga. Miałem oczy pełne łez, gdy łomami i siekierami demolowaliśmy „Łosie" i „Karasie", których lot podziwialiśmy tyle razy...

Siedemnastego września Niemcy weszli do Lublina. Zaczęła się okupacja. Któregoś dnia przechodziłem w mundurze harcerskim ulicą, na której Niemcy dokonywali akurat rewizji. Ale pomyślałem sobie, że mnie – dziecku – nie zrobią przecież krzywdy i śmiało szedłem przed siebie „Halt, du Schwein!" – ryknął za mną żołnierz. Przyskoczył do mnie. Zerwał naramienniki. Rzucił moją rogatywkę harcerską na ziemię i zaczął ją deptać. Ponieważ patrzyłem mu hardo w oczy, rozwścieczony dalej obrywał mi po kolei guziki z lilijką. Na koniec skopał mnie i plunął mi w twarz. Jakoś uciekłem. Do domu nie było daleko. Zamknąłem się w komórce i dopiero tam dałem upust swojej złości i rozpaczy. Płakałem w głos waląc pięściami w ścianę. Znalazł mnie w tej komórce Adek Wyrzykowski – kolega z zastępu. Postanowiliśmy na nowo zwołać „Łosie". Nie był to już ten sam zastęp. Po pierwsze zawiadomiliśmy o zbiórce tylko tych chłopaków, do których mieliśmy absolutne zaufanie. Po drugie, wszyscy, którzy chcieli należeć do zastępu, musieli złożyć następujące przyrzeczenie: *„Przysięgam Tobie Ukochana Ojczyzno, że będę walczyć z wrogiem do ostatniej kropli krwi i nigdy nie zdradzę. Przyrzekam, że będę posłusznie wykonywał wszystkie rozkazy"*. I właśnie od tego momentu rozpoczyna się historia konspiracyjnej drużyny „Łosie", o której piszę w mojej książce. Naszą pierwszą akcją była pomoc jeńcom polskim więzionym właśnie na lotnisku Aeroklubu. Znaliśmy każdy zakamarek tego terenu, więc nie było dla nas żadną sztuką wejść tam, dostarczyć żywność wygłodzonym jeńcom, a nawet niektórym umożliwić ucieczkę.

Przede wszystkim jednak zajmowaliśmy się małym sabotażem. Zimą z 1939 na 1940 rok ofiarą drużyny padła znaczna część sieci telefonicznej w Lublinie i okolicach. Druty zrywaliśmy za pomocą małych kotwic uwiązanych na sznurku.

Święto 3 maja 1940 roku uczciliśmy biało-czerwonymi chorągiewkami zatkniętymi na cmentarzu wojskowym i ulotkami drukowanymi ręcznie na kartkach z brulionu:

Trzeci Maj święcimy w niewoli,
Narodowe polskie święto –
Przyjdzie kres naszej niewoli!
Przeminie germańskie piętno!

Potem drukowaniem ulotek zajmowały się dziewczęta z drużyny: Osa, Irka i Janka. Same wymyślały treść żartobliwych wierszyków, a nawet miały odwagę podrzucać je volksdeutchom i Niemcom.

Jedną z najpoważniejszych akcji, którą ochrzciliśmy kryptonimem „Tory", był sabotaż kolejowy na stacji Lublin – Tatary. Akcja polegała na tym, że podczas postoju pociągu pod semaforem blokowaliśmy koła wagonów przez opuszczenie klocków hamulcowych. Teren operacji stopniowo rozszerzał się. Działaliśmy aż koło Świdnika i Rudnika.

Dla mnie historia „Łosiów" kończy się w 1943 roku, kiedy po ucieczce z gestapo musiałem pójść do lasu do partyzantki. Niedługo potem „Łosie" rozpadły się. Kilku druhów zginęło, jeden został wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec, jeszcze inny poszedł walczyć w Powstaniu Warszawskim. A ja do końca wojny nosiłem na mundurze Krzyż Harcerski. Potem, po wojnie, gdzie się tylko znalazłem, zakładałem drużyny harcerskie i kręgi instruktorskie. W tej chwili najbardziej ścisły kontakt mam ze szczepem im. Synów Pułku ze Szkoły Podstawowej nr 9 w Lublinie. Ale nie tylko. Staram się uczestniczyć w życiu harcerzy, chodzę często na zbiórki, opowiadam o swoich harcerskich doświadczeniach. Ja naprawdę bardzo dużo zawdzięczam harcerstwu – zrobiło ze mnie człowieka. No i zostałem pisarzem – też w końcu dzięki harcerstwu.

Kiedy żegnałam się z panem Ludwikiem Bronisz-Pikało, dobiegło mnie stukanie maszyny do pisania. Żona, pani Ewa, przepisywała następną książkę. Być może jej tematem znów będą harcerze... W każdym razie dowiedziałam się, że pan Ludwik przygotowuje drugie, rozszerzone wydanie „Pierwszej Skrzydlatej". Czekamy na nie z niecierpliwością.

JOLANTA ZDANOWSKA
Fot. **Jacek Łopuszyński**

Nie tylko Złote Piaski (1)

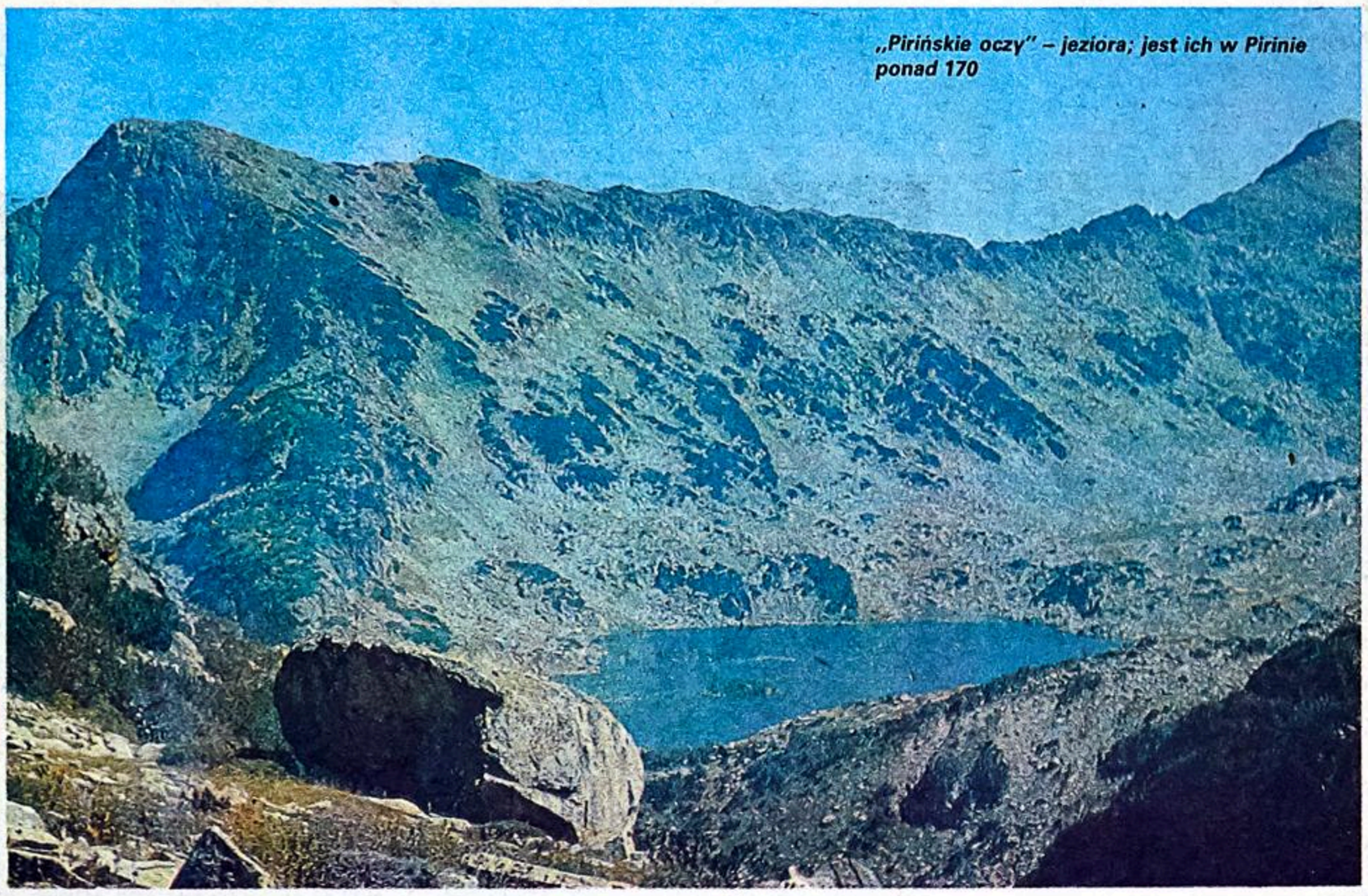

„Pirińskie oczy" – jeziora; jest ich w Pirinie ponad 170

W BUŁGARSKICH GÓRACH PERUNA

Z mozołem pniemy się stromo pod górę. Plecaki ciążą. Nikt się nie odzywa, by nie uronić ani krzty powietrza tak potrzebnego dla płuc. Wokół – niebotyczny, wspaniały las. Blisko tysiącletnie iglaste drzewa o potężnych grubych pniach dziwnie rozczapierzonymi wielkimi konarami. Wysokość tysiąc osiemset metrów ponad poziomem morza, a las wcale się nie kończy. W polskich Tatrach już skończyłaby się kosodrzewina, a zaczynały gołe skały.

Wyszliśmy na otwartą przestrzeń, odetchnęli. Nasz bułgarski przewodnik – Bojan zarządził odpoczynek. Przed nami szeroka dolina bogato porośnięta zielonymi trawami, pachnącymi ziołami i chaszczami nie do przebycia, z trzech stron otoczona wystrzępionymi skalistymi granicami. Ta część Pirinu zbudowana jest z czystego prawie marmuru. Bojan ostrzega, że do doliny ani jaskiń w marmurowych górach iść nie należy, bo można spotkać tam niedźwiedzia. Tych pełno jest w Pirinie – najpiękniejszych górach Bułgarii, położonych w południowo-zachodniej części tego kraju. Legendarnych niemal górach Peruna – starosłowiańskiego boga piorunów i ognia. Nazwa „Pirin" znaczyła dawniej tyle, co „piorun".

Diabelnie gorące słońce daje się we znaki, nawet teraz, na głównej grani najwyższego masywu, na wysokości dwu tysięcy siedmiuset metrów. Ale widoki takie, że zapominamy o upale: urwiste przepaście od północy i ogromne szarozielone pejzaże od południa. Wąska ścieżka prowadzi wzdłuż łagodniejszego południowego stoku. Dowcipkujemy, bo perć wiedzie równo. Ktoś zauważa, że taką ścieżkę widział tylko na filmie, gdzie muły dźwigały na grzbietach towary z przemytu. Ale oto perć zwęża się. Przestaje być „filmowo" na niby, a zaczyna się prawdziwy film o strachu. Stado kozic zwinnie skacze po stromiznach, a my – zajęci bezpiecznym stawianiem kroków – nawet na zwierzęta nie jesteśmy w stanie patrzeć. Ale kiedy siadamy na małej przełęczy i rozwijamy wałówy – wszyscy jedzą z apetytem, co znaczy, że strach nas całkowicie nie obezwładnił. Idę kawałek ku górze, zajrzeć do schronu. Takich schronów jest kilka w Pirinie: budka dwa na dwa metry, umocowana czterema stalowymi linami na marmurowo-granitowych skałach, żeby jej wicher nie zdmuchnął w przepaść. Wewnątrz – cztery drewniane piętrowe prycze, półeczka, garnek, czajnik. I pozostawione przez turystów schodzących w dół konserwy: tak nakazuje zwyczaj w bułgarskich górach.

Teraz – najtrudniejszy odcinek – Konczeto, czyli „Konik". Konik, bo jego wąziutką ostrą grań trzeba przejść okrakiem. I znowu jest filmowo: pod nogami z obu stron po pareset metrów przepaści. Powoli, metr po metrze docieramy do stół Wichrenu – najwyższego szczytu Pirinu, legendarnej siedziby boga Peruna. Dwanaście godzin trudnego marszu mamy za sobą.

* * *

Zasada naszej wędrówki jest taka: jednego dnia przejście ze schroniska do schroniska z plecakami, drugiego – wycieczka bez bagażu po okolicy miejsca biwakowania. Bojan lubi góry i lubi je pokazywać. Dziś prowadzi nad jezioro Muratowo i wyżej – przez przełęcz – na południową część pasma. Oglądamy dwa pejzaże typowe dla Pirinu: na północy – z poszarpanych skał – widać głęboko w dole, w cyrku polodowcowym dwa lazurowe jeziora, na południu – łagodny pejzaż rozległych, o wiele większych niż w Tatrach hal, z pasącymi się stadami bydła i owiec, potokiem płynącym szeroką, pofałdowaną zieloną doliną ciągnącą się ku odległemu, następnemu łańcuchowi potężnych grani. Zachwycamy się mnogością jezior – „pirińskich oczu". Gdzie nie spojrzeć – pełno ich. Na wysokości ponad dwu kilometrów, w ogromnych kotłach otoczonych groźnymi górami jest ich w Pirinie ponad sto siedemdziesiąt. Woda w nich lodowata i tak czysta, że widać każdy kamień na kilkudziesięciometrowych głębokościach. I pstrągi, których tu mnóstwo, można zobaczyć, jak wyskakują ponad powierzchnię. Dawniej spotykano nad jeziorami namioty samotnych wędkarzy – smażyli pstrągi na ogniu przykrytym płaskim kamieniem.

Po południu schodzimy do doliny. Dobiega nas daleki głos fujarki – dźwięki bułgarskiego choro. Hen, wysoko na stromym trawiastym zboczu spostrzegamy odległą, brunatną plamę. Plama zmienia kształt i – jakby – zsuwa się powoli w dół, ku nam. Okazuje się, że to stado dwustu owiec. Owczarz chowa fujarkę, podchodzi, wyciąga bryłę znakomitego sera. Hajda, jedzcie – powiada. Prowadzi nas potem pod swój szałas. Warzył w wielkim saganie czorbę – zupę z fasoli, papryki, pomidorów z dodatkiem oleju, octu winnego i czosnku. Częstuje czerwonym winem. Opowiada o swoim życiu i pracy. Tu, w szałasie – o dwa dni drogi od najbliższej górskiej wioski – co roku spędza samotnie ze stadem pięć miesięcy. Ma siedemdziesiąt lat, choć wygląda najwyżej na pięćdziesiąt. Niejeden z owczarzy przekracza tu stuletni wiek i do ostatniej chwili jest zdrowy i aktywny. Ot, życie w dzikiej przyrodzie – ono daje siłę.

* * *

Bojan prowadzi nas nieznanymi „tajnymi" trasami. Dziko, groźnie, przepięknie. Podchodzimy po ogromnych ruszających się pod nogami głazach. Potem – prawie niewidoczną percią schodzimy w dół tak stromo, że nogi ze strachu drżą. Po paru dniach prażenia na słońcu – wyglądamy śmiesznie. Gorąco jak diabli, a ludzie idą w swetrach, w wełnianych czapkach naciągniętych na uszy. Niektórzy porobili sobie „kacze nosy" z papieru, a ktoś założył nawet rękawiczki. Nic dziwnego – silne w wysokich górach promienie ultrafioletowe prawie wszystkich nas mocno poparzyły. Nawet uszy i dłonie. Jedynie Bojan – opalony na czarno – ubrany jest tylko w krótkie spodnie.

Z grzbietu Tipicite widać teraz całą, tak, całą Bułgarię – malowniczy górzysty kraj. Na północy – jak na dłoni – groźne masywy gór Riła, dalej – Witosza, Stara Płanina. Na wschodzie – dzikie, pełne wilków i niedźwiedzi lesiste Rodopy. Na zachodzie – jugosłowiańska Szar Płanina. Na południu – graniczne pasmo Bełasicy. Widać wyraźnie na dziesiątki, setki kilometrów. Wszystko wydaje się tak blisko, że tylko ręką sięgnąć... I wreszcie – wymarzony, legendarny widok: szczyt greckiego Olimpu – siedziby mitologicznych bogów – otoczony białym oparem. A w lewo od niego – błękitny, zamglony pas Morza Egejskiego. Gdyby teraz właśnie z niebotycznego Wichrenu zszedł ku nam Perun – nikt z nas by się temu nie zdziwił.

* * *

Ze skalistego Pirinu Północnego powędrowaliśmy przez łagodny i bardzo kolorowy Pirin Południowy ku najgorętszemu miesjcu Bułgarii, ku Mełnickim Piramidom i najmniejszemu chyba w Europie miastu – Mełnikowi. O tym opowiem w następnym odcinku.

ANDRZEJ BARCHACZ
Fot. **autora**

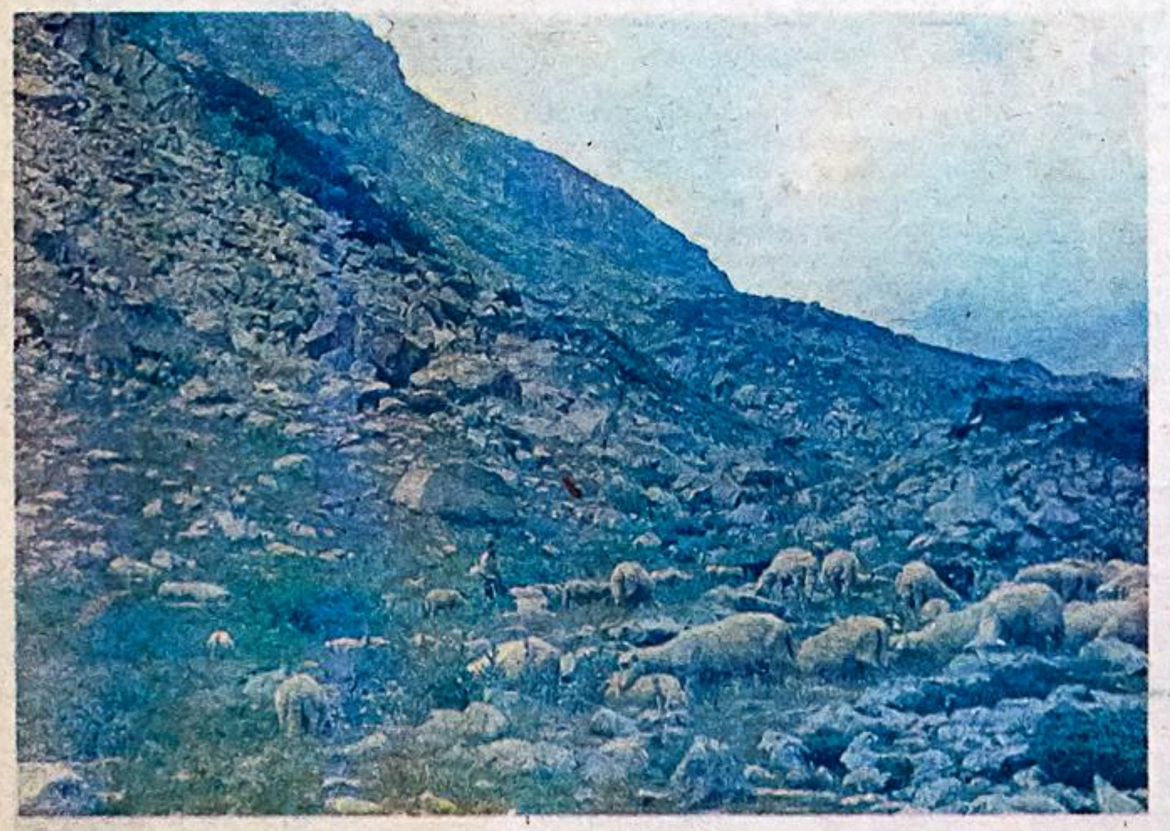

Wysoko w górach pasą się stada owiec

MUZEUM ZAPAŁKI

ZSRR (PAP). W Kałudze dużym powodzeniem cieszy się muzeum zapałki. Zgromadzono tu unikalną kolekcję tysięcy różnego rodzaju zapałek, jak też setek tysięcy opakowań.

Można tu między innymi zobaczyć zapałki, które palą się... pod wodą. Są też specjalne zapałki sygnalizacyjne, dające płomień w kolorach – czerwonym, zielonym i niebieskim. Są zapałki dla marynarzy, polarników i myśliwych, które zapalają się podczas ulewnego deszczu, i przy największym huraganie. Są też eksponaty, które były na obu biegunach ziemskich, a nawet i w kosmosie.

Są tutaj zapałki, które liczą prawie 90 lat i które przeleżały w wiecznej zmarzlinie ponad 70 lat. Ich posiadaczem był rosyjski badacz polarny, Edward Tolli. Zimując w 1900 r. nad brzegiem Zajmuru, zakopał część produktów i 10 pudełek zapałek. Gdy zostały znalezione, ich pudełka były lekko uszkodzone, ale zapałki zapalają się do dziś.

Jak wiadomo, pierwsze zapałki zostały wynalezione w 1833 r. Fosforowe główki zapalały się przy potarciu o szorstką powierzchnię. W Rosji pierwsza fabryka zapałek ruszyła w 1837 r. w Petersburgu.

Zdaniem specjalistów z Kaługi, gdzie produkuje się zapałki, a wspomniane muzeum założone zostało przy tutejszej fabryce, zapałki przeżyły już swój rozkwit. Są obecnie niemal na całym świecie wypierane przez elektryczne aparaty zapalające. Wypierają je również „wieczne" zapalniczki, które produkuje się masowo.

Niemniej jednak w Kałudze uważa się, że przemysł zapałczany ma przed sobą jeszcze daleką przyszłość. Zapałki bowiem, jako podarunki, pamiątki itp. produkować się będzie nadal.

(jo)

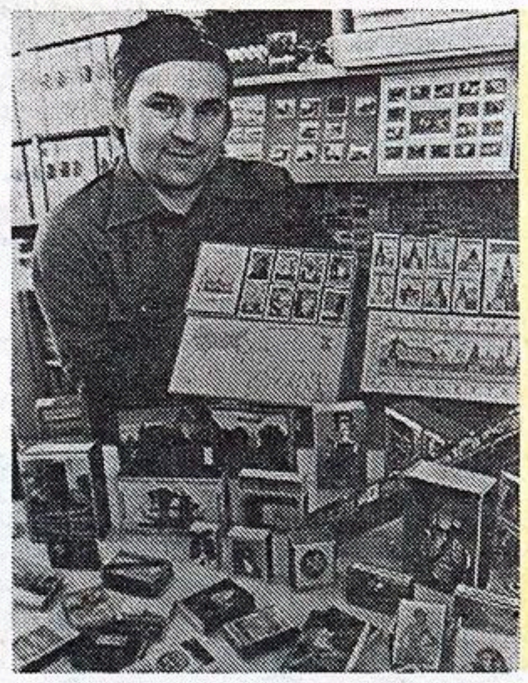

Kolekcjoner Yaak Toomis z miasta Tartu w ZSRR ma w swoich zbiorach 130 etykietek zapałczanych z 90 krajów

Gatunkowi największych małp świata grozi wyginięcie

CIĘŻKIE CZASY DLA GORYLI

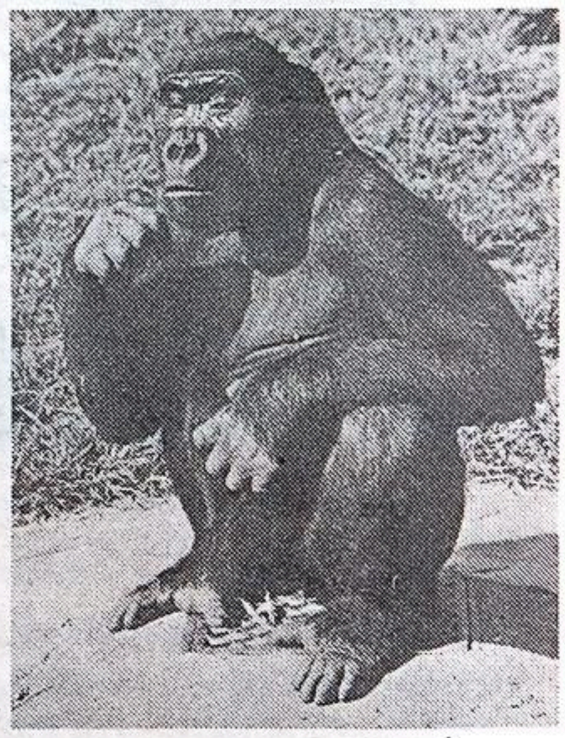

(PAP). Górskie goryle, największy gatunek małpy, których waga dochodzi do 250 kg, mogą wkrótce wyginąć nękane kłusownictwem i licznymi chorobami. Te roślinożerne, spokojne zwierzęta, żyjące w samym centrum Afryki, wzdłuż pasma wulkanów na wysokości ponad 2 tys. m, przy granicy Ugandy, Zairu i Rwandy, mimo że były objęte ochroną już w latach dwudziestych, kiedy to utworzono pierwszy park afrykański, są obecnie coraz rzadziej spotykane i w roku 1981 było ich już tylko 242. Park ten, znajdujący się na obszarze Rwandy, został zmniejszony w 1969 r. o połowę, z powodu szybkiego wzrostu liczby mieszkańców tego kraju i przeznaczania coraz większych obszarów pod uprawę.

Goryle, odsuwane w coraz wyższe partie gór, nękane chorobami z powodu zimniejszego klimatu, są ciągle interesującym obiektem dla kłusowników, którzy sprzedają kolekcjonerom ich czaszki za wysoką cenę, dochodzącą do tysiąca dolarów.

Od 1979 r. Rwandyjskie Biuro Turystyki wspólnie z parkami narodowymi realizuje projekt ochrony tego gatunku małp. Przewiduje on m.in. dla lepszego poznania sposobu życia goryli górskich oswojenie kilkunastu osobników w ich naturalnych warunkach.

Od dłuższego już czasu plan ten jest z powodzeniem realizowany. Małe grupki turystów pod eskortą uzbrojonych strażników mogą zbliżać się do gorylich rodzin na odległość kilkunastu metrów. **(jo)**

Fot. **archiwum**

Poznajecie? Tak, to pan Zygmunt Kęstowicz zaprasza do wspólnej zabawy z piosenką i.: Pankracym, który ukrył się w wielkiej torbie za plecami opiekuna

Młodzi aktorzy „Akademii Pana Kleksa" z Gdowa czuli się na scenie bardzo swobodnie

Scena teatru „Buffo"

otwarta dla młodych artystów nie tylko w harcerskich mundurach

W sobotę 12 listopada br. warszawska dzieciarnia mogła obejrzeć inauguracyjne przedstawienie imprezy pod nazwą Ogólnopolska Scena Prezentacji Zespołów Dziecięcych i Młodzieżowych. Występować na niej będą najlepsze artystyczne zespoły z całej Polski – laureaci przeglądów, festiwali, imprez wojewódzkich itp. Zespoły przyjeżdżające na występy mogą zapraszać Gościa Programu – znanego aktora, reżysera, kompozytora, muzyka, scenografa.

12 listopada Gościem młodych artystów i widowni był pan Zygmunt Kęstowicz, którego widzowie znają z telewizyjnych spotkań z zabawnym psem Pankracym. Ci, co siedzieli w pierwszych rzędach mogli nawet pogłaskać kosmaty pyszczek Pankracego, który wyśpiewywał razem ze swym opiekunem smakowitą piosenkę o „plackach Pankrackach", podchwyconą natychmiast przez rozbawioną widownię. Każdy, kto wybierze się do Buffo w przyszłości, także będzie mógł nauczyć się jakiejś sympatycznej piosenki, gdyż program „Prezentacji" przewiduje naukę piosenek podczas kolejnych imprez.

W listopadzie na Scenie „Prezentacji" wystąpiły dwa zespoły – **Harcerski Teatr „Akademia Pana Kleksa" z Gdowa** z przedstawieniem o wilku Barnabie oraz **Harcerski Zespół Piosenki i Tańca „Krajki" z Łodzi** w wiązance harcerskich piosenek.

Gdowianie byli bardzo dynamiczni, lecz ich przedstawieniu zabrakło spójności. Publiczność niechętnie witała powtarzające się dłużyzny i gasnące, dla większego efektu, światło.

„Krajki" natomiast prezentowały bardzo słoneczne harcerskie piosenki, ładnie skomponowane z układami choreograficznymi. Szkoda tylko, że urocze harcerki z Łodzi markowały śpiewanie piosenek uprzednio nagranych na taśmę. Sądzimy, że i bez tego ich występ nic by nie stracił, a wręcz zyskał.

Tyle o minionej imprezie, która, zdaniem jej inicjatorów, a więc Głównej Kwatery ZHP, jest ofertą na ciekawe spędzenie czasu w wolną sobotę oraz szansą zaprezentowania dorobku artystycznego zaproszonych zespołów harcerskich i szkolnych z całej Polski, ich wzajemnych konfrontacji i wymiany doświadczeń.

Reklamą „Prezentacji" zajmuje się Telewizyjny Magazyn Harcerski „Krąg", „Świat Młodych" i „Express Wieczorny", które to redakcje są także współorganizatorami imprezy.

Scena będzie działać (począwszy od 12 listopada 1983 r.) przez cały rok, z przerwą na wakacje, **w każdą drugą sobotę miesiąca o godz. 15.15.**

Terminarz występów jest, jak na razie, opracowany do 9 czerwca 1984 r. i wygląda następująco:

- **10 grudnia 1983 r.** – Teatr marionetek „Pinokio" z Iławy
  – Słoneczna Gromada z Barlina
- **14 stycznia 1984 r.** – Teatr „Mrówki" z Nowego Sącza
  – Zespół folklorystyczny „Mała Istebna"
- **11 lutego 1984 r.** – Teatr z Poznania „Łejery"
  – Zespół instrumentalno-wokalny z Sawiny „Sawinutki"
- **10 marca 1984 r.** – Teatr z MDK im. Wł. Broniewskiego
  – „Słoneczni" z Katowic
- **14 kwietnia 1984 r.** – Teatr „Hades" z Buska Zdroju
  – „Alert" z Bielska Białej
- **12 maja 1984 r.** – „Ad rem" z Ustki
  – Zespół instrumentalno-wokalny „Arabeska" z Olsztyna
- **9 czerwca 1984 r.** – Teatrzyk dziecięcy „ABC" z Krakowa
  – „Algi" z Kołobrzegu

Organizatorzy przewidują wprowadzenie do tego terminarza pewnych zmian, jeśliby się to okazało konieczne.

Zatem zapraszamy do Teatru Buffo w Warszawie przy ul. M. Konopnickiej 6.

(es)

Fot. **Maryla Zieleniewska**

Sportowcy, o których się mówi

Natasza i pech

Gdyby najtęższym fachowcom zadać pytanie – kto jest najlepszą gimnastyczką świata, większość z nich odpowiedziałaby bez wahania: jest nią od kilku lat Natalia Jurczenko. Niejeden kibic, nawet wtajemniczony w arkana tej dyscypliny, mógłby zaprotestować. Jak to, a Maxi Gnauck, a Biczerowa, Mostiepanowa, Agache, Szabo...? W ich kolekcji jest nie mniej, a nawet więcej medali i tytułów zdobytych w prestiżowych imprezach. A jednak ci, co Nataszę Jurczenko cenią najwyżej, mają chyba rację...

W cieniu

Na zakończonych w budapeszteńskim Pałacu Sportu mistrzostwach świata Natalia Jurczenko zdobyła złoty medal w wieloboju i tytuł absolutnej mistrzyni świata. Dopięła swego, choć i tu nie oszczędził jej pech. Daremnie szukać nazwiska Jurczenko wśród medalistek ćwiczeń na poszczególnych przyrządach. Mistrzyni doznała bowiem już na początku tej rywalizacji kontuzji. A miała szanse wygrać na każdym przyrządzie, tak jak uczyniła to na ostatniej spartakiadzie narodów ZSRR, na której wywalczyła komplet złotych medali.

Cóż, pech prześladuje ją nie od dziś. Miała lat 15 i była wschodzącą gwiazdą radzieckiej gimnastyki, kiedy podczas przygotowań do igrzysk olimpijskich w Moskwie skręciła nogę, tracąc szanse na olimpijski występ. Rok później wybierała się na mistrzostwa świata jako faworytka, ale w imprezie nie wystartowała. Kontuzja. Powetowała sobie to niepowodzenie na ubiegłorocznych zawodach o puchar świata w Zagrzebiu. Niektóre z ewolucji budziły zachwyt skalą trudności i precyzją wykonania. Równie efektownie ćwiczyła jednak młodsza o dwa lata Olga Biczerowa, której talent eksplodował nagle i nieoczekiwanie. Gdy podliczono punkty, okazało się, że obie mają identyczny wynik i organizatorzy musieli przygotować dwa puchary. Dla Olgi i dla Nataszy. Gdy Natalia wróciła z Zagrzebia i przyjrzała się bliżej złotemu trofeum, zaniemówiła z wrażenia. Napis wyryty na pucharze brzmiał: „Coupe de Monde masculine", czyli „Puchar świata mężczyzn". Jak się ma pecha, to nic nie pomoże – pomyślała i natychmiast zabrała się do treningu. Po oszałamiającym sukcesie na spartakiadzie jechała do Budapesztu jako stuprocentowa faworytka. Nie zawiodła, ale liczono na więcej krążków. Pechowy skok i uraz nogi przeszkodził jej znów w realizacji ambitnych planów. Bezkonkurencyjna w kraju mistrzyni świata wciąż nie może udowodnić swej bezwzględnej supremacji, chociaż niemal wszyscy twierdzą, że jest najwybitniejszą gimnastyczką ostatnich lat.

Rodem z Syberii

Urodziła się w Norylsku przed 18 laty, w dolnym biegu rzeki Jenisej, gdzie przez dwa miesiące panuje polarna noc, a lato jest bardzo krótkie. Po ojcu, rodem z Syberii, odziedziczyła upór i pracowitość, po mamie – wdzięk, gracje i temperament. Miała siedem lat, gdy trafiła do salki treningowej. Jej talent pierwsza dostrzegła Galina Chasanowa, która prowadziła szkółkę gimnastyczną w Norylsku. Odtąd ćwiczyła trzy razy w tygodniu i po dwóch latach potrafiła więcej niż jej starsze koleżanki.

Błyskawicznie i z zadziwiającą łatwością opanowywała arcytrudne ewolucje, wykonując je przy tym z wyjątkową elegancją i bardzo dynamicznie. Zbierała pochwały na zawodach dzieci, a potem na mistrzostwach juniorów. Nadszedł czas, by zajął się nią fachowiec najwyższej klasy. W Norylsku takiego nie było i dlatego Natalia przeniosła się do Rostowa nad Donem. Tu utalentowaną młodziczką zaopiekował się znany szkoleniowiec Władysław Rastoracki i on to doprowadził Nataszę do najwyższego mistrzostwa.

Seniorka

W gimnastycznym światku czas biegnie bardzo szybko. Po medale sięgają dzieci. 18-letnia dziewczyna to już weteranka, seniorka.

Natalia jest starsza od swych rywalek, ale wciąż nie osiągnęła – zdaniem szkoleniowców – szczytu możliwości. Dlatego z zapałem podjęła przygotowania do igrzysk olimpijskich w Los Angeles. Będzie to jej pierwsza i ostatnia olimpiada. Wierzy, że w tej najważniejszej próbie pech ją wreszcie opuści...

Jest ładna, zgrabna, waży 45 kg i ma 156 cm wzrostu. Niby niewiele, ale przy piętnastolatkach – Biczerowej, Mostiepanowej czy Szabo wygląda jak dorosła. W czasach, gdy granica wieku w gimnastyce obniżyła się do granic niepokojących, jej sukcesy cieszą działaczy i miłośników tego sportu. Ostatnią „dorosłą" mistrzynią świata była słynna Ludmiła Turiszewa, potem na gimnastycznych przyrządach dominowały dziewczynki a nie kobiety, i nawet fenomenalna Rumunka Nadia Comaneci musiała ustąpić pola młodszym, choć sama ledwie osiągnęła pełnoletność. Natalia Jurczenko jest więc w światowej gimnastyce zjawiskiem w pewnym sensie wyjątkowym. Już nie uczennica, a studentka drugiego roku akademii wychowania fizycznego, sięgnęła po miano pierwszej damy światowej gimnastyki.

Natasza wie, że olimpiada będzie już kresem jej kariery, pełnej dramatów, blasków i cieni. Chciałaby też ukoronować ją najcenniejszym trofeum – medalem ze złota.

Potem pragnie szkolić swe następczynie: *„Gimnastyce zawdzięczam niemal wszystko i nie wyobrażam sobie życia bez tego sportu."*

TOMASZ TRZCIŃSKI

Fot. **archiwum**

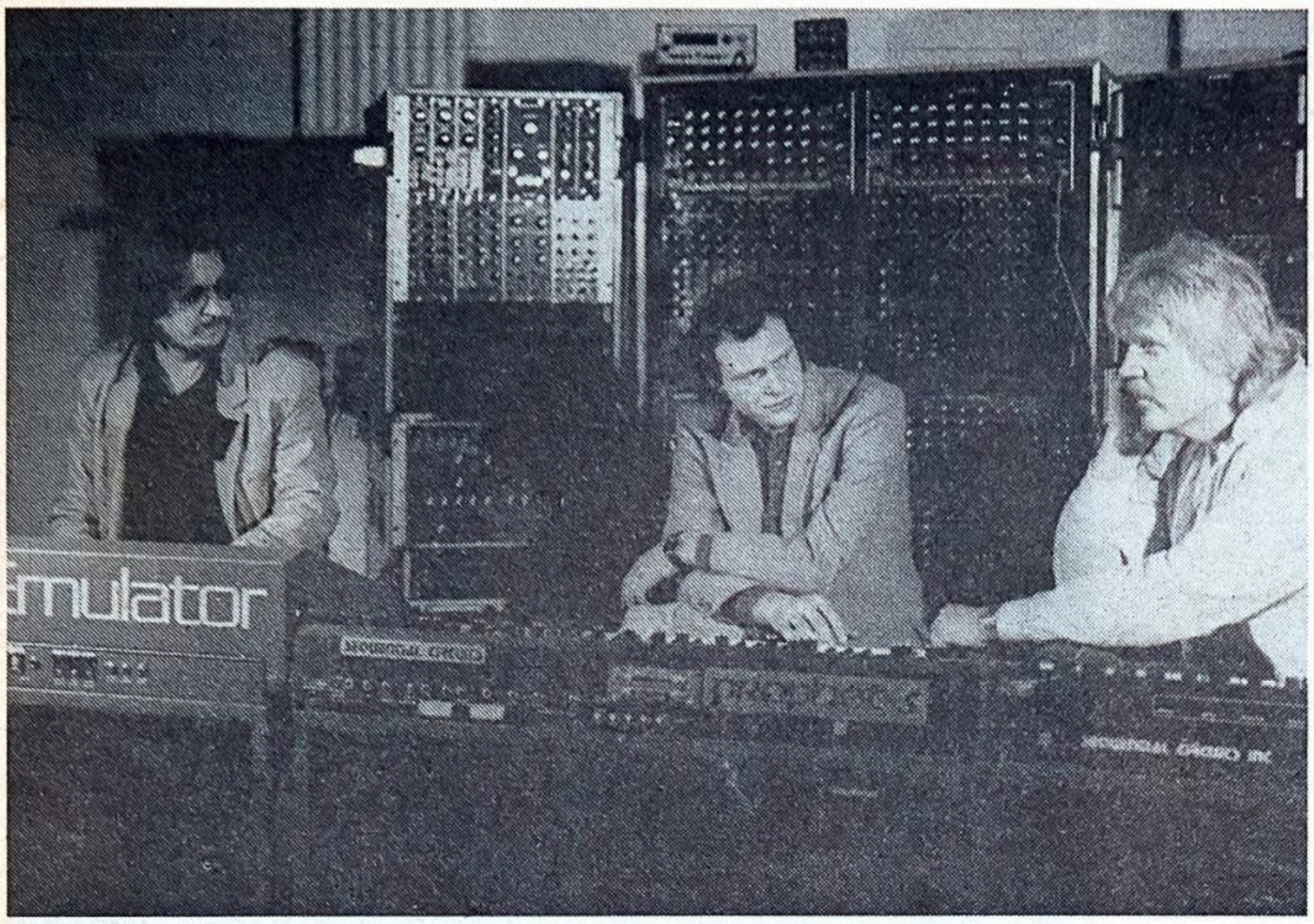

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW
Redaguje LECH NOWICKI

„Kraftwerk", K. Schulze a teraz...

„TANGERINE DREAM"

W dniach 9–16 grudnia 1983 występować będzie w Polsce legendarna już grupa „Tangerine Dream". Wreszcie będzie można na własne oczy i uszy zobaczyć i usłyszeć tych, których nazywa się prekursorami elektronicznego rocka. Grupa przyjeżdża z własnym imponującym elektronicznym instrumentarium, obejmującym, według dokładnego wyliczenia fachowców, 28 pozycji, a m. in. komputery, syntezatory, sekwencery, wokodery, programatory, systemy Moog, gitary i urządzenia cyfrowe elektronicznej perkusji. Od samego wymieniania można dostać zawrotu głowy, choć to przecież nie wszystko.

Na pewno ciekawe będą efekty świetlne podczas występów. Niestety nie będzie nam dane obejrzenie słynnego Laserium, bo grupa eksperymentuje już z innymi efektami, przy których używa slajdów, filmów itp.

Wraz z trójką muzyków – Edgarem Froese, Christopherem Franke, Johannesem Schmoolingiem, przyjeżdża Monika Froese odgrywająca ważną rolę w zespole TD, nie tylko jako żona lidera. Ma ona olbrzymi wpływ na kształt artystyczny poczynań grupy, projektuje okładki ich płyt, programuje oprawę wizualną występów.

Czas przybliżyć historię zespołu, która liczy już 14 lat. W tym czasie wydano 20 płyt długogrających.

Założycielem i liderem zespołu jest Edgar Froese – rzeźbiarz i muzyk, który profesjonalną karierę muzyka rozpoczął w 1965 roku. „Tengerine Dream" powstał trochę później. Pierwszy występ zespołu, który nazwę „Mandarynkowy Sen" zapożyczył z tekstu piosenki z płyty The Beatles „Orkiestra Samotnych Serc Sierżanta Pieprza", odbył się po czterech miesiącach prób w styczniu 1968 roku.

Początkowo publiczność nieufnie przyjęła produkcje muzyczne nowego zespołu, bo też i muzyka nie była łatwa w odbiorze. Jednym z założeń artystycznych było „przełamywanie ograniczeń" przez wykonywanie muzyki „free" – improwizowanej. Te trwające po pięć–sześć godzin koncerty nie przyciągały zbyt wielu słuchaczy, choć byli i tacy, którzy nie opuścili żadnego występu i stali się zagorzałymi zwolennikami zespołu.

Przez kilka lat „Tangerine Dream" nie mógł wypłynąć na szersze wody popularności i koncerty ograniczały się do występów w małych klubach. Ta sytuacja nie sprzyjała zespołowi, który wielokrotnie zmieniał skład osobowy. Przez krótki czas w 1969 r. w TD na perkusji grał Klaus Schulze, którego w następnym roku zastąpił, pozostający w zespole do dziś, wielce obiecujący młody perkusista jazzowy Christopher Franke.

Już w tym czasie zespół eksperymentował, używając niekonwencjonalnego, jak na rockowy zespół, zestawu instrumentów, a do tego jeszcze dochodziły efekty uzyskiwane z wcześniej nagrywanych, preparowanych taśm. Była to muzyka, jak na owe czasy, brzmiąca dosyć dziwnie i niezrozumiale, pewnie dlatego miała więcej zaciekłych wrogów niż zwolenników. Do tego dochodził brak tak ważnej dla skomercjalizowanego rynku muzycznego siły przebicia w postaci przebojowego utworu czy ekspansywnie działającej wytwórni płytowej. Dotychczasowe nagrania płytowe nie znalazły zbyt wielu nabywców, choć mówiło się w środowisku o interesującym, „poszukującym" zespole.

Na początku 1972 roku nagrali podwójny album zatytułowany „Zeit" (Czas). Muzyka na tych płytach świadczyła, że TD wyraźnie odchodzi od muzyki rockowej. Warto dodać, że nagrano ją z udziałem dużej orkiestry symfonicznej.

Przełomem w karierze zespołu stało się nagranie płyty „Atem". Dzięki promocji radiowej w Wielkiej Brytanii, której patronował cieszący się olbrzymim autorytetem wśród słuchaczy prezenter John Peel, płyta ta uznana została za najciekawszą płytę zagraniczną 1973 roku na Wyspach Brytyjskich. Muzykę z tej płyty porównywano do osiągnięć muzycznych niezwykle popularnych wtedy Pink Floydów i Mike'a Oldfielda.

W ten sposób „Tangerine Dream" przełamał dotychczasowe bariery stawiane zachodnioniemieckiej awangardzie muzycznej i śmiało wszedł na hermetyczny rynek brytyjski, podpisując kontrakt z niezwykle aktywną wytwórnią płytową Virgin.

Następna płyta „Phedra" nie tylko w zaskakująco szybkim czasie znalazła się w pierwszej dziesiątce najpopularniejszych płyt długogrających Wielkiej Brytanii, pośród płyt z typową muzyką rozrywkową, ale również w Australii sprzedana została w nakładzie, który dał jej miano „złotej płyty". Proszę zwrócić uwagę, że muzyka „Tangerine Dream" w dalszym ciągu pozostawała muzyką awangardową, trudną w odbiorze dla przeciętnego słuchacza.

Konsekwencją sukcesu płytowego było olbrzymie zainteresowanie koncertami zespołu. Niekonwencjonalna formuła odbywania koncertów w zupełnej ciemności sprzyjała koncentracji zarówno muzyków jak i słuchaczy. Stało się to niejako „znakiem firmowym" grupy aż do 1977 roku. Każdy koncert był pełną improwizacją muzyczną.

We wrześniu 1974 w katedrze w Rheims (Francja) koncert TD zgromadził ponad 6 000 widzów; liczba ta w porównaniu z wcześniejszymi występami, gdzie bywało po 40 widzów, świadczy o olbrzymim wzroście zainteresowania. Koncerty stały się swoistym misterium muzycznym, co podkreślała niezwykłość scenerii, w jakiej się odbywały: np. zbudowany jeszcze przez Rzymian amfiteatr w Orange (płd. Francja), katedra w Coventry, katedra w Liverpool, York Minster czy szacowna sala Royal Albert w Londynie.

W tym czasie TD zyskał reputację najgłośniejszego zespołu w dosłownym znaczeniu. Natężenie dźwięku dochodziło do 130 decybeli.

Przez dwa miesiące (marzec–kwiecień) 1976 r. występowali w USA, gdzie na każdym koncercie był komplet widzów. Często podkreślano, że tournée to nie było poprzedzone żadną promocją radiową. Po raz pierwszy właśnie na tej trasie TD wykorzystał swoje Laserium.

Efektem płytowym tournée był podwójny album z nagraniami koncertowymi o wymownym tytule „Encore" (Bis!).

Kolejne tournée amerykańskie zerwane zostało już po dwóch występach, z powodu wypadku nie mającego nic wspólnego z trudami trasy koncertowej. Ch. Franke podczas wolnego czasu między koncertami wybrał się na przejażdżkę konną, podczas której spadł z konia i fatalnie się potłukł, przewieziono go do szpitala na dłuższą kurację.

Eksperymentom muzycznym towarzyszyły coraz ciekawsze eksperymenty wizualne z użyciem Laserium i specjalnego układu luster. Zaowocowało to niezwykle udanym tournée europejskim, związanym z promocją płyty „Cyclone".

31 stycznia 1980 roku po prawie rocznych pertraktacjach TD wystąpił jako pierwsza zachodnia grupa rockowa w Pałacu Republiki w Berlinie. Był to nadzwyczajny koncert, tak dla zespołu, jak i dla publiczności. Po raz pierwszy w NRD, po raz pierwszy z Johannesem Schmoolingiem. 22 najrozmaitsze instrumenty klawiszowe pozwoliły stworzyć prawdziwy teatr dźwiękowy, od szumu wichrów i morza do pieśni chóralnych i brzmienia gigantycznych organów, a oprawione to zostało niezwykłymi efektami wizualnymi uzyskanymi przy użyciu najnowocześniejszych technik wideo i obrazów laserowych. Koncert został utrwalony na płycie „Amigi".

Latem tego samego roku TD wydał płytę studyjną „Tangram". Sukcesem można nazwać sprzedaż płyty z muzyką filmową do filmu „Złodziej", nagranej w 1981 r. Była to ich druga próba w tej dziedzinie (pierwsza przyniosła klęskę samemu filmowi, bo muzyka wybroniła się). Tradycyjne instrumentarium i melodyjne tematy, które znalazły się na ścieżce dźwiękowej mogłyby świadczyć o komercjalizacji muzyki TD, ale album „Exit" wydany w tym samym roku jeszcze raz dowodzi, że TD woli pozostać zespołem kontrowersyjnym, pełnym sprzeczności w poszukiwaniach niż ulegać chwilowemu komercyjnemu powodzeniu.

Kolejne płyty to studyjny „White Eagle" i koncertowy, nagrany w Dominion Theatre w Londynie „Logos".

Polska trasa koncertowa „Tangerine Dream" będzie na pewno miłym prezentem gwiazdkowym dla wielbicieli muzyki elektronicznej. Zbiega się ona z promocją nowego albumu nagranego w studio w Berlinie Zachodnim w sierpniu 1983 r. Płyta ta w ciągu dwóch tygodni od ukazania się w sprzedaży znajduje się już na pierwszym miejscu na liście albumów z muzyką elektroniczną. Sukces. Sukcesem z udziałem polskiej publiczności stał się najnowszy dwupłytowy album Klausa Schulze „Live in Poland", nagrany podczas letniej trasy koncertowej w Polsce. Już w pierwszym tygodniu album znalazł się na piątym miejscu wśród najpopularniejszych nagrań z muzyką elektroniczną. Jak w tytule – kto następny? Czy Jean Michel Jarre?...

ANDRZEJ MARZEC

WRAPPED AROUND YOUR FINGER

OTO OBIECANA TYDZIEŃ TEMU PIOSENKA Z REPERTUARU ZESPOŁU *POLICE*:

You consider me the young Apprentice
Caught between Scylla and Charibadis
Hypnotized by you if I should Linger
I have only come here seeking Knowiedge
Things they wouldn't teach me Of in college
I can see the destiny you sold
Turned into a shining band of Gold

I'll be wrapped around your Finger

Mephistopheles is not your Name
But I know what you're up to just The same
I will listen hard to your tuition
And you will see it come to its Fruition

I'll be wrapped around your Finger

Devil an the deep blue sea Behind me
Vanish in the air you'll never Find me
I will turn your face to alabaster
Then you will find your servant is Your master

And you'll be wrapped around Mv funger...

W TEATRZE WIELKIM...

● Festiwal Gwiazd z udziałem wybitnych śpiewaków. W dniach od 3 do 20 grudnia wystąpią: Kari Nurmela – baryton z Finlandii, Bengt Rundgren – bas ze Szwecji, Arley Reece – tenor z USA, Attila Manizade – bas z Cypru, Bruno Sebastian – tenor z Włoch, Carmen Reppel – sopran z RFN, Dymitr Petkow – bas z Bułgarii, Nicolai Gedda – tenor ze Szwecji. Zobaczymy ich i usłyszymy w „Holendrze tułaczu" Wagnera, „Tosce" Pucciniego, „Traviacie" Verdiego, „Don Carlosie" tegoż kompozytora, „Cyganerii" Pucciniego, „Borysie Godunowie" Musorgskiego i „Opowieściach Hoffmanna" Offenbacha.

● Jubileusze: 35-lecia pracy artystycznej Marii Fołtyn i 40-lecia Bogdana Paprockiego. Bogdana Paprockiego podziwialiśmy w „Halce", Marię Fołtyn w „Hrabinie" Stanisława Moniuszki.

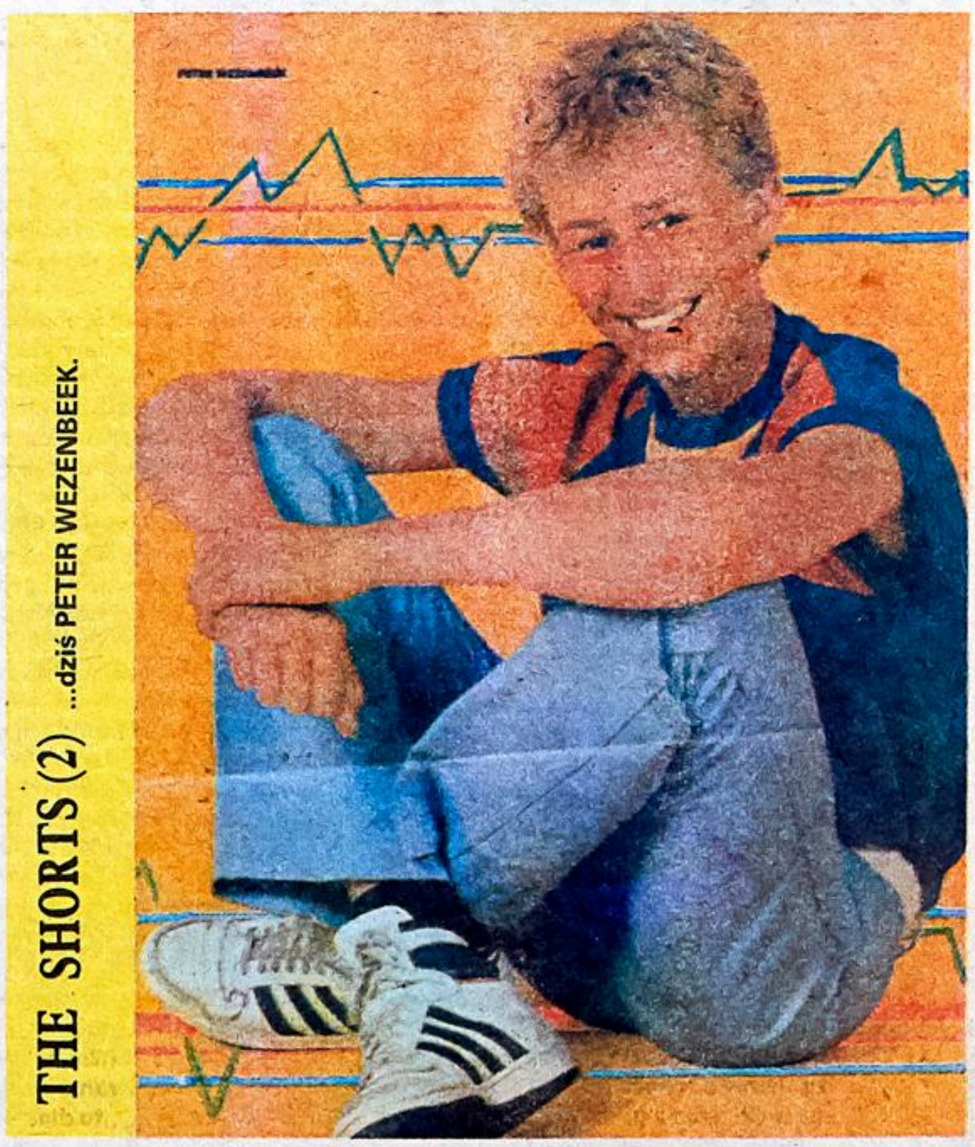

THE SHORTS (2) ...dziś PETER WEZENBEEK.

Planetologia

– nauka przyszłości

TAJEMNICE WENUS

(ZSRR). Specjaliści radzieccy zamierzają sporządzić za pomocą automatycznych stacji „Wenus-15" i „Wenus-16" mapy budowy geologicznej, kształtowania się temperatury na powierzchni, składu atmosfery i jonosfery w północnej części Wenus.

Stacje w dalszym ciągu dokonują zdjęć północnej półkuli planety. Podczas przelotu nad Wenus radiolokatory zainstalowane na ich pokładach fotografują pas powierzchni o długości 9 tysięcy kilometrów i szerokości 150 kilometrów. Udoskonalona aparatura umożliwia zdjęcia planety nawet przy dużym zachmurzeniu.

Na otrzymanych z Kosmosu fotografiach zarejestrowane są rozległe rejony górskie, morza bazaltowe i ogromne kratery, którymi pokryta jest planeta. Naukowcy radzieccy na podstawie otrzymanego materiału określą precyzyjnie wysokość łańcuchów górskich i poszczególnych szczytów.

Wenus jest jedyną planetą systemu słonecznego, która właściwościami budowy geologicznej przypomina Ziemię. Z tego też względu jej poznanie pozwoli zrozumieć wiele procesów geologicznych i fizycznych na naszym globie. Zdaniem uczonych radzieckich tworzy się właśnie nowa nauka – planetologia porównawcza. **(kl)**

„MASKI PRZECIWGAZOWE" DLA... SAMOCHODÓW

BUŁGARIA (PAI). W Bułgarii otrzymano nowy związek chemiczny, mający zastosowanie jako katalizator w oczyszczaniu gazów wydzielanych przez silniki spalinowe. Zamiast drogiej i deficytowej platyny wykorzystuje się tlenek aluminium, miedzi i kobaltu. Nowy typ katalizatora zastosowano w produkcji neutralizatorów szkodliwych substancji, wydzielanych przez silniki Diesla. Do końca 1983 r. wszystkie dieslowskie autobusy w większych miastach Bułgarii będą wyposażone w tego typu „maski przeciwgazowe". **(jo)**

NAGRANIA MUZYCZNE FRANCUSKIEGO KOSMONAUTY

FRANCJA (PAP). Francuski kosmonauta Jean-Loup Chretien, uczestnik radziecko-francuskiego lotu w przestrzeni kosmicznej, wydał obecnie swą pierwszą płytę z nagraniem utworów organowych. Jean-Loup Chretien od 15 lat poświęca wolny czas grze na organach. W jego repertuarze znajdują się m. in. utwory Couperina i Bacha. **(eb)**

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Polecam dziś do liczenia „małe formy": zadanie-błyskawicę i tajemnicze działania. A wszystkim, którzy mają sokoli wzrok, radzę zająć się bliżej zadaniem „po trzy". Już dziś zapowiadam specjalne, konkursowe wydanie naszego kącika w okresie gwiazdkowym. Do soboty!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

PORÓWNAJ!

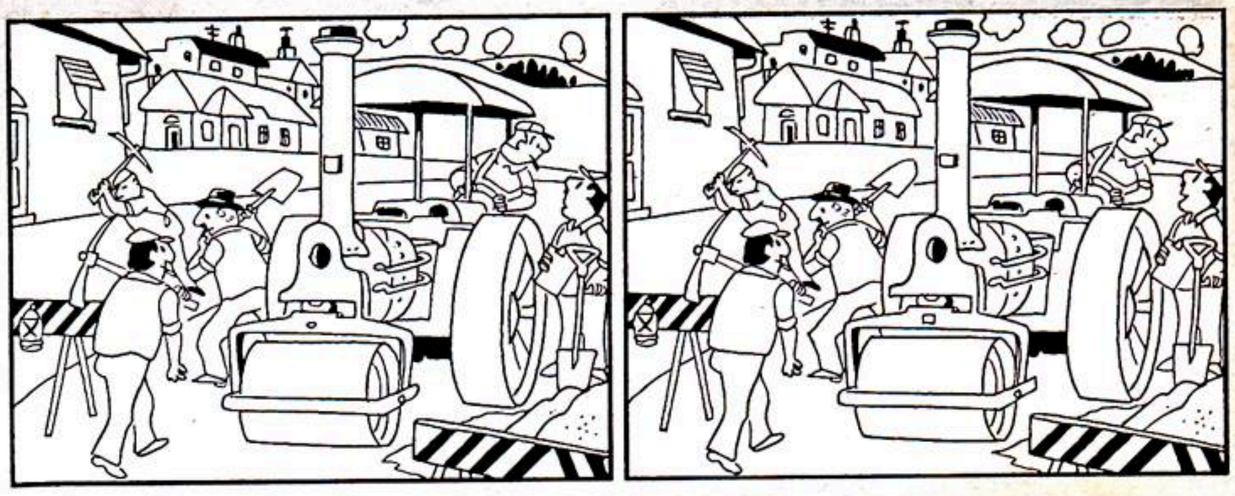

Te dwa rysunki różnią się między sobą tylko dwudziestoma drobnymi szczegółami. Znajdź je i zaznacz; porównasz z zamieszczonym rozwiązaniem za tydzień.

Tajemnicze zadania

W tym układzie rysuneczków zaszyfrowane są matematyczne działania na liczbach. Każdy rysuneczek – to jedna cyfra. Powtarzające się w tym układzie takie same rysuneczki oznaczają powtarzające się takie same cyfry. Działania wykonujemy zgodnie z ich znakami, zarówno w kierunku poziomym, jak i pionowym. Start!

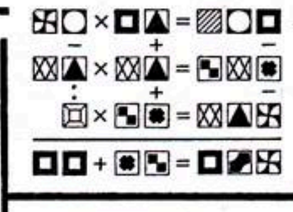

TYLKO PO TRZY

Na tym obrazku jest aż 7 różnych szczegółów, które powtarzają się trzy i tylko trzy razy. Spróbuj je odnaleźć w ciągu 5 minut; porównaj swoje rozwiązanie z odpowiedzą w przyszłą sobotę.

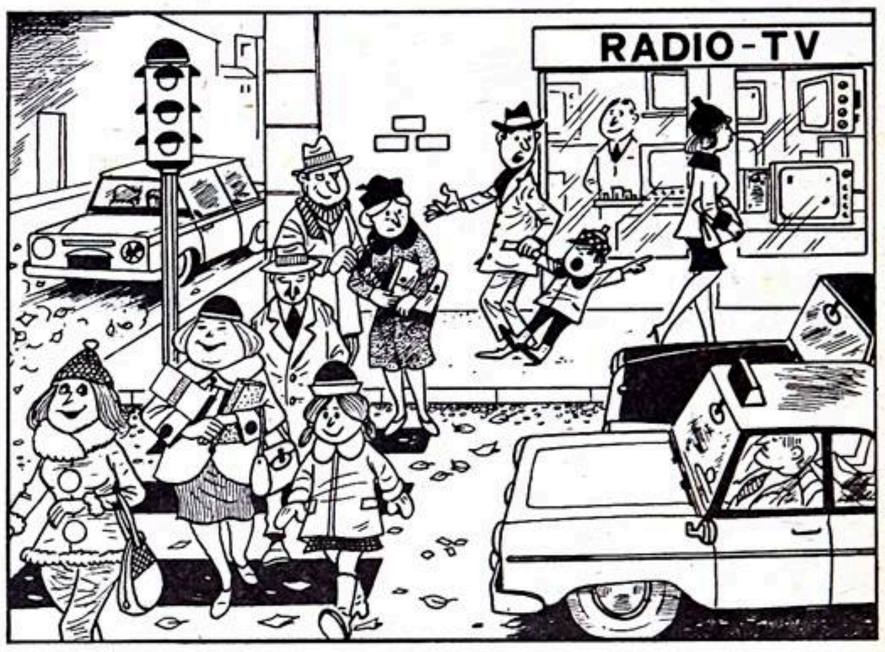

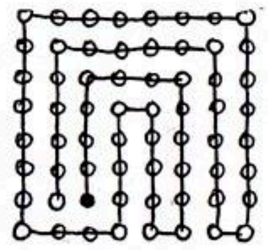

Odpowiedzi z poprzedniej soboty:

ABRAKADABRYŚCI NA INNEJ PLANECIE: rozwiązanie obok. **USTAW LOGICZNIE:** prawidłowa kolejność – to D, A, C, B. Na D – mężczyzna z lewej nie ma szalika, brak szwu na prawym rękawie dziewczyny w okularach, brak kołpaka na kole furgonetki; na A brak tylko szwu i kołpaka na kole; na C brak tylko kołpaka; rysunek B jest kompletny.

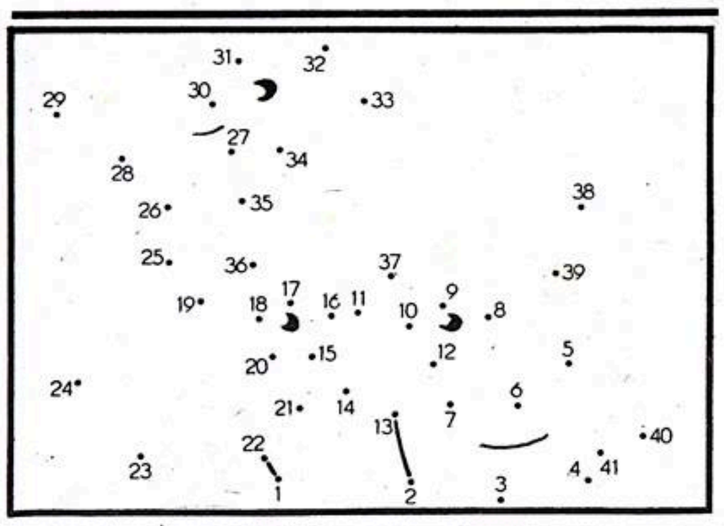

Zadanie – błyskawica

Daniel ma dwa razy tyle lat, co Kazik. Za cztery lata natomiast okaże się, że półtorej liczby lat Daniela będzie się równać iloczynowi dzisijszej liczby lat Kazika pomnożonej przez 3,5. Ile lat ma dziś Daniel, ile ma Kazik?

41 PUNKTÓW

Używając długopisu lub ołówka połącz liniami prostymi kolejne punkty od 1 do 41. Otrzymasz obrazek, który jest nagrodą za rozwiązanie wszystkich dzisiejszych zadań Abrakadabry.

Zadanie premiowane nr 453

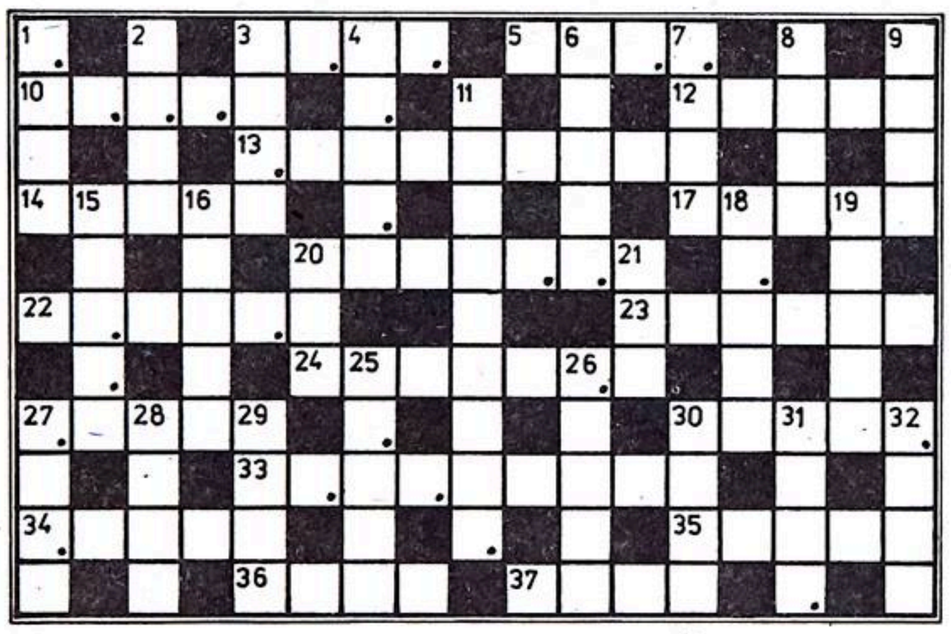

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

Po rozwiązaniu krzyżówki litery z oznaczonych kratek, czytane rzędami poziomymi, utworzą rozwiązanie – przysłowie polskie. Prześlij je w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 453".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW

POZIOMO: 3) pył, 5) berbeć, szkrab, 10) samica jelenia, 12) stan upadku, zniszczenia, 13) sól lub pieprz, 14) samochód ciężarowy produkcji czechosłowackiej, 17) część karabinu lub kaczan kukurydzy, 20) pierwiastek chemiczny o symbolu Sb, 22) tkanina bawełniana na letnie sukienki, 23) fragment tekstu, wyjątek, 24) sędzia sportowy, 27) stały wiatr strefy równikowej, 30) błazen, 33) pisarka lub poetka, 34) pojazd z płozami, 35) żółty grzyb jadalny, 36) jama, 37) przysmak bociana.

PIONOWO: 1) narzędzie pracy kowala, 2) kość, 3) ozdobne przykrycie łóżka, 4) pewność siebie, rezolutność, 6) nazwa, 7) legendarny założyciel podwawelskiego grodu, 8) zimowy kolor, 9) na Nilu w Asuanie, 11) człowiek obrotny, umiejący sobie radzić w życiu, 15) obchodzi imieniny 23 listopada, 16) grała rolę Marusi w serialu „Czterej pancerni i pies", 18) jeżyna, 19) niedostatek, ubóstwo, 20) ... ma Asa, 21) ptak wodny, 25) wirnik, 26) bydgoskie zakłady radiowe, 27) morda, 28) treść, wymowa czegoś, 29) składnik powietrza, 30) skrzynia, 31) komisja oceniająca prace nadesłane na konkurs, 32) wdzięk, urok.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 448
ze 132 numeru „Świata Młodych" z dnia 5.11.1983 r.

Listopad (mleko – banda, kolos – kanał, słoma – Łotwa, chata – armia, zmysł – Tatry, klapa – lasso, wiatr – sagan, obora – łobuz).

Nagrody wylosowali: Anna Basiaga – Nowy Sącz, Iwona Czępińska – Lublin, Elżbieta Drób – Sosnowica, Michał Karapuda – Krasnystaw, Agnieszka Majcher – Jasło, Zbigniew Naumowicz – Płaska, Justyna Osińska – Nowy Dwór Mazowiecki, Danuta Stępień – Trzebień, Małgorzata Trębacz – Rudna, Joanna Weber – Poznań.

mękę równą strachowi Thei. Ona zaś oderwała czoło od mojego ramienia i – jakby dopiero teraz dostrzegając pomyłkę – powtórzyła, szczękając przy tym zębami:

– Boję się... Doktorze Raiford, to przyszło nagle, tam w wodzie... Nie mogę...

– Spokojnie – powtórzyłem. – Powiedz, jak to wygląda, co czułaś?

Przygryzła wargi robiąc widoczny wysiłek, aby się opanować.

– Nie wiem... (na dnie jej głosu tłukł się wciąż jeszcze szloch). – Tego nie można zobaczyć, to jest takie... To jest dokoła... Nie jeszcze inaczej: jak gdyby otaczało mnie, a jednocześnie przechodziło przeze mnie...

Nie mogłem pomóc jej, ani sobie – nikomu z nas, bezradnych wobec sił, którym nie tylko nie umieliśmy sprostać, lecz których nawet nie byliśmy w stanie zrozumieć. Podniosłem głowę i rozejrzałem się bezradnie po pokładzie. Doznałem nagle wrażenia, że przegapiłem coś niezmiernie ważnego, że to, co najistotniejsze umknęło mojej uwadze, że brakuje tu czegoś... Wciąż jeszcze nie rozumiejąc przyglądałem się twarzom Rasa, van Vincenta, dwóch marynarzy i Ray'a. I nagle pojąłem: brakowało Martina.

Nie uwierzyłem, to było niemożliwe, musiałem się pomylić. Narzucając sobie spokój, zacząłem obracać głowę – ale nie było go z prawej, ani też z lewej strony, za sobą także nie zobaczyłem jego szczerej, mocnej, jak gdyby wyciosanej uderzeniami topora i z pnia sosny twarzy. I nagle, jeszcze jakby wbrew sobie, zrozumiałem, że nie zobaczę Jamesa, choćbym nawet wychylił się przez reling; nie będzie go na łodzi, ani na pneumatycznej tratwie przycumowanej do burty „Ariadny". Zrobiłem krok do przodu; gwałtownie, ruchem, którego nerwowości nie mogłem opanować szarpnąłem ramię Sāliha:

– Ras, gdzie jest Martin?

Podniósł wykrzywioną, ściętą, jakby zmartwiałą twarz; widziałem to tak, jak widzi się zwolniony film: ruch trwał niezmiernie długo, płynny, rozwleczony na nieskończone sekundy mojego niepokoju. A potem zobaczyłem oczy Sāliha – puste i martwe, połyskujące jakimś białawym blaskiem jak zmatowiałe od katarakty oczy ślepca – nie widzące dlatego, że on wciąż nie chciał mnie widzieć (wpatrzony w coś, co działo się w nim samym, czy też zdarzyło tylko jemu – jedynie ważne, liczące się wyłącznie, nawet teraz); tęczówka i źrenica nieomal zlane w jedno w otoczce przekrwionych białek. Widocznie jednak poprzez to zapatrzenie do wewnątrz dotarła doń moja obecność i moje pytanie, bo odpowiadział – cicho, rozwlekle, z tępą rozpaczą:

– Jeems – (użył tak bardzo nielubianego przez tamtego zdrobnienia wymawiając je z żałością, jakiej bym nigdy się po nim nie spodziewał). – Jeems został. Tam.

– Jak to – został? – Moje palce zacisnęły się na jego ramieniu, trząsłem nim i szarpałem jakbym w ten sposób mógł – zmuszając go do zaprzeczenia tym słowom – odmienić prawdę, której nie chciałem (Nie, to nie mogła być prawda: miałem wciąż w oczach ich troje jak – rano – przekomarzali się przy śniadaniu, i później, schodząc do łodzi – „to dlatego, że tam, pod wodą, musimy tyle milczeć" – mówiła Thea; widziałem ciągle dobry, lekko zażenowany uśmiech Jamesa Martina). – Trzeba wracać natychmiast, szukać...

– Szukałem – głos Rasa, monotonny, zrezygnowany, był jak wschodnia melorecytacja z zamierzchłych czasów, to pozbawione nadziei wołanie niedosiężnego Boga. – Schodziłem cztery razy... Wszystko zaczęło się zaraz po rozmowie z panem, miałem im przekazać, żeby kończyli robotę, kiedy on... I nie mogłem go znaleźć, nie było jego boi, nic. Wiedziałem tylko że coś mu się przydarzyło, myślałem, że jeśli znajdę go dosyć szybko... To był najlepszy płetwonurek na świecie. Nie mógł popełnić błędu, o morzu wiedział więcej niż ktokolwiek; tam, pod wodą nie było zagrożenia, z którym nie umiałby sobie poradzić... Ale nie dostrzegłem go nigdzie. Ani ja, ani automaty. Mała – ruchem głowy wskazał znieruchomiałą Theę – szukała także. Potem... To przyszło na nią. Musiałem z nią wypłynąć. On... Jemu... jemu wtedy już tlen musiał się skończyć...

Nie godziłem się z tym, nie chciałem w to uwierzyć. Wciąż miałem przed oczyma twarz Kanadyjczyka, gdy śmiał się i przekomarzał z Rasem. To nie mogło się zdarzyć.

Sālih wciągnął powietrze jak człowiek, który – nurkując bez akwalungu – musi zejść jak najgłębiej, tam, gdzie dotychczas nigdy jeszcze nie dotarł. Jego głos załamywał się, kiedy powtórzył z wściekłą rozpaczą, z tępym, głuchym bólem:

– Jeems... został, tam. Nie miał już tlenu. Nikt nie mógłby mu pomóc.

Cdn.

PRZYGODY JONKI, JONKA I KLEKSA:

PIÓRO contra FLAMASTER

TEKST I RYSUNKI: SZARLOTA PAWEŁ

4

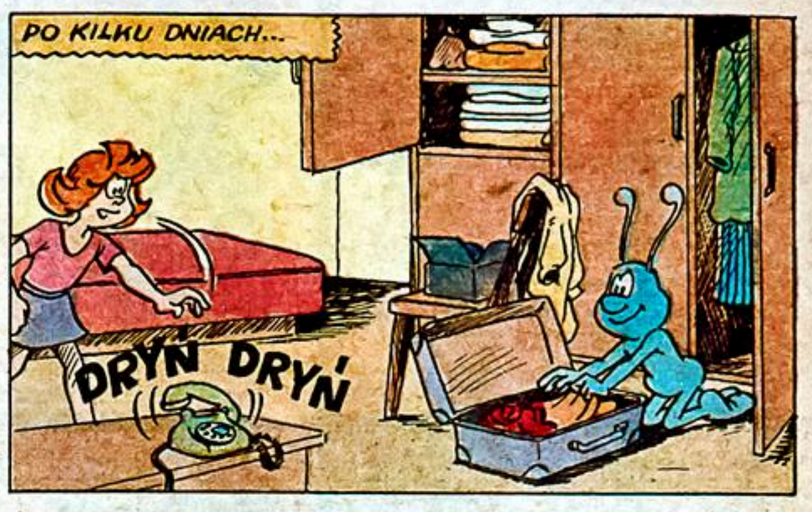

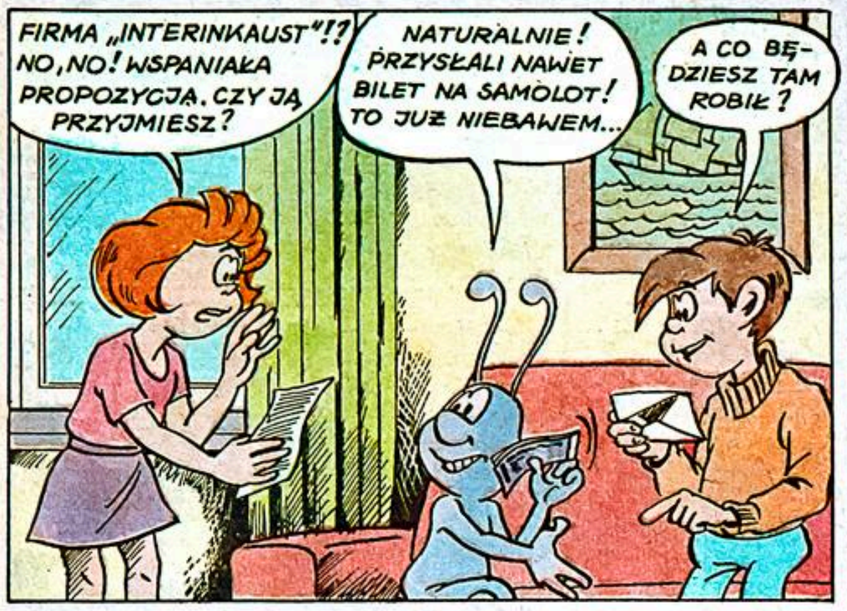

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Ukazuje się we WTORKI, CZWARTKI i SOBOTY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)

TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: **Inna Bojska**
Opracowanie techniczne: **Bogumiła Szczupakowska**
Korekta: **Barbara Wasilewska**
Nakł. 500 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 4738/G. M-92

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

WOJTEK pyta w ogrodzie zoologicznym:
– Mamo, dlaczego ten lew ma taki wielki łeb?
– Żeby go nie mógł przesunąć między prętami klatki...

*

NA STATKU rozlega się okrzyk „człowiek za burtą!". Tonący pasażer zostaje uratowany przez jednego z marynarzy.
– Czy chciałby pan – pyta kapitan – poznać człowieka, który pana uratował?
– Wolałbym się dowiedzieć – odpowiada uratowany – co to za kretyn zepchnął mnie do wody...

Gry? Mówisz tak, jakbyś był przekonany, że bierze w niej udział ktoś jeszcze poza nami, jakaś jej Druga Strona...

– Czasem przychodzi mi to do głowy. Ale nie mam dowodów. Nie wiem. Naprawdę nie wiem, Kew. Wiem tylko tyle: że w rejonie Trójkąta rozprzęga się nasz świat – ten, który istnieje wokół nas i w nas samych. Chwilami myślę także, że – czymkolwiek jest ta siła – muszę jej wyjść naprzeciw; przyjąć ją i zrozumieć, albo się przeciwstawić...

Przypomniałem sobie tą chwilę na „Armstrongu" – moment pewności, najgłębszego przekonania, że to co się dzieje jest jakąś milczącą próbą nawiązania ze mną kontaktu, niesłychanie cierpliwym oczekiwaniem odpowiedzi na nie zadane pytanie – które ja, być może, powinienem odgadnąć. I nagle zbuntowałem się przeciwko własnym myślom i tej rozmowie – byłem, do licha, szefem naukowej wyprawy, nie grupki spirytystów. Miałem dość parapsychologii, metafizyki, czy co tam mogło być jeszcze...

– Doktorze Raiford – usłyszałem nagle zdławiony głos van Vincenta – Płetwonurkowie... Ras Sālih i pani Thea Alvarez...

Zobaczyłem ich niemal w tej samej chwili, oddalonych tylko o szerokość pokładu, przed kilku minutami musieli widać przejść z tratwy na „Ariadnę". Wyglądali na ludzi ciężko chorych, lub w szoku; twarz Rasa była ziemisto blada pod ciemną opaleniznę, dziwnie stężała w przerażającym grymasie, słaniającą się Theę podtrzymywał marynarz z obsługi łodzi – jakby nie mogła zrobić kroku o własnych siłach.

Rzuciłem się w tę stronę; kiedy już byłem przy nich marynarz puścił Theę – zachwiała się i jak dziecinna lalka, w której przestała działać elektronowa aparatura, osunęła miękko i bezwładnie na pokład. Ale nie znieruchomiała jak lalka. Przez kilka sekund klęczała, wsparta na jednej ręce (druga wykonywała jakieś przedziwne ruchy, jakby dziewczyna coś odpychała od siebie, lub chciała się osłonić), a potem, nagle, zaczęła kręcić głową; skurczonym ciałem targało drżenie; milczała, ale to nieprzytomne obracanie się głowy i dygot ciała robiły znacznie bardziej przerażające wrażenie niż mógłby sprawić krzyk.

– Thea, co pani?

Znieruchomiała na moment i znowu zaczęła kręcić głową – złotobrunatne włosy rozsypały się po ramionach, zakryły pochyloną twarz. Przestała, oderwała dłoń od pokładu, wyprostowała się i usiadła na podkulonych nogach, Przez kilka sekund siedziała tak nieruchomo, jej oczy patrzyły spod rozwichrzonych włosów, rozszerzone przestrachem, nieufne i dzikie; wyglądała jak małe, wystraszone zwierzątko.

– Spokojnie – powiedziałem, starając się żeby w moim głosie nie było niepokoju, udając pewność siebie, której wcale nie czułem. I pochylając się nad jej drobną, ociekającą wodą postacią: – Spokojnie, Thea. Jesteś bezpieczna, wśród ludzi, na „Ariadnie"...

Chwyciła mnie za rękę, jej palce zacisnęły się i zdumiała mnie siła drobnych, prawie dziecinnych dłoni. Oczy miała ogromne, rozszerzone przestrachem, prawie czarne; patrzyła na mnie chwilę z głową odchyloną do tyłu, a potem – nagłym dziecinnym ruchem – przypadła mi do ramienia i dygocąc od powstrzymywanych łkań zaczęła wołać z przyciśniętą do rękawa mojego skafandra twarzą, której gorąco i rozedrganie czułem poprzez materiał:

– Boję się, boję... Pomóż mi, Ray...

Drgnąłem; nie byłem przecież Ray'em. Spojrzałem na niego: stał sztywny, nieruchomy, jakby już nigdy nie mógł się ruszyć z miejsca, jak gdyby stracił na zawsze zdolność wykonywania ruchów; lewy policzek zadrgał nerwowym skurczem, w jego oczach dostrzegłem

Dokończenie na str. 7